CENA 1 ZŁ
ZESZYT 2 1933 r.

POLACY W CAŁYM ŚWIECIE

CZASOPISMO ILUSTR. POŚWIĘCONE EMIGRACJI POLSKIEJ



Sławna piramida pod San Juan de Teotihuacan w Meksyku

Ignacio Domeyko

Chluba Chili i Polski

Jak wspomniałem w swojej poprzedniej korespondencji, niema w Republice Chilijskiej miasta lub miasteczka, w któremby nie było placu lub ulicy, poświęconej wielkiemu obywatelowi Chili, Ignacemu Domeyce, naszemu rodakowi. Oto historja życia tego wielkiego Polaka:

Ignacy Domeyko urodził się dnia 22-go sierpnia 1801 roku w Niedźwiadce w Mińszczyźnie. Ojcem jego był Hipolit, prezes sądów ziemskich nowogródzkich, matką zaś Karolina z Ancutów. Otrzymawszy pierwsze początki nauki w domu rodzinnym, jako 11-letni chłopiec oddany został do szkoły pijarskiej w Szczuczynie, a w roku 1816 wstąpił na wydział fizyko-matematyczny uniwersytetu wileńskiego. Tu pod kierunkiem Jędrzeja Śniadeckiego obudziło się w nim pierwsze zamiłowanie do chemji i jej badań. Na ławie uniwersyteckiej zaprzyjaźnił się z Mickiewiczem i Odyńcem, z którymi za pośrednictwem korespondencji pozostawał w najserdeczniejszych stosunkach. Po ukończeniu w roku 1822 wydziału fizyko-matematycznego, zapisał się na wydział literacko-historyczny. Potem osiadł w Zapolu, majątku swego stryja w powiecie lidzkim, gdzie uzyskał rozgłos najlepszego rolnika na Litwie. Przychodzi powstanie listopadowe i Domeyko bierze w niem udział. Rok 1831 zapędza go na terytorjum pruskie, gdzie go uwięziono, przenosząc z twierdzy do twierdzy. Wreszcie uwolniony, osiada w Dreźnie, skąd wraz z Mickiewiczem udaje się do Paryża. Tu zapisuje się do szkoły górniczej, a swoją gorliwą pracą wkrótce zwraca na siebie uwagę profesorów szkoły, znakomitych ówczesnych uczonych. Ukończywszy szkołę ze stopniem inżyniera górniczego, obejmuje posadę chemika w Alzacji. Wkrótce wraca do Paryża... Bawił tu pewien bogaty właściciel kopalni w Chili, który z polecenia rządu chilijskiego miał sprowadzić profesora chemji do nowozałożonej szkoły górniczej w Coquimbo. Domeyko przy poparciu swoich profesorów paryskich zawarł 6-letni kontrakt z rządem chilijskim z obowiązkiem wykładania fizyki i chemji, oraz założenia i prowadzenia laboratorjum chemicznego.



Ignacio Domeyko

Dnia 2. lutego 1838 roku popłynął przez Rio de Janeiro, Montevideo i Buenos Ayres, aby stąd konno przez stepy argentyńskie i przełęcza w Andach przybyć 30-go czerwca do Coquimbo nad Oceanem Spokojnym. Tu zabrał się do gorliwej pracy, opracowując całkowity projekt wykładów w szkole. Pierwsze wakacje spędza na wycieczce w Kordyljery, najbliżej Coquimbo położonych, a w ciągu całego roku uskutecznia analizy rud na żądanie właścicieli kopalń, co mu zjednuje rozgłos powszechny. Wakacje w roku 1840 spędza na badaniu odleglejszych już pokładów rudonośnych Huasco i Copiapo.

Odkrywa nieznaną dotychczas odmianę rodzimego amalgamatu srebra, zawierającego do 87%, stanowiącego główną rudę bogatych pokładów w Arqueros. Stąd rudę nazywa *arquerytem*. Rok później, przy badaniu znów innych kopalń, odkrył nowy związek arsenu z miedzią, nazwany przez Haidingera na cześć odkrywcy *domeykitem*. W roku 1843 odkrywa bogate pokłady miedzi w de la Campania, a złota w Cauquenes. Wakacje 1845 r. spędza na zwiedzeniu Araukanji, jednej z południowych prowincyj republiki, zamieszkałej przez nawpół dzikich Indjan, dotychczas zupełnie nieznanej. Oprócz badań fizjograficznych, oddaje się studjom nad badaniem fizycznych i moralnych właściwości Araukanów. W tymże roku występuje Domeyko z rozprawą ekonomiczną, w której wskazuje na zniesienie cła od przywozu do kraju węgla angielskiego, co hamowało rozwój miejscowego hutnictwa i zagrażało wyniszczeniem lasów. Oprócz tego wydaje sprawozdanie z badań nad pokładami węgla w prowincji Valdivia. Wszystkie wnioski Domeyki uzyskują zatwierdzenie izb prawodawczych republiki.

Następnie zawezwano go do stolicy, gdzie mu polecono zbadanie chemiczne wód miejskich i okolicznych

Przekonawszy się o szkodliwych właściwościach wód miejskich, Domeyko opracowuje projekt wodociągu, doprowadzającego wodę z dalszych okolic, który następnie zbudowano.

W roku 1847 obejmuje katedrę chemji i mineralogji na uniwersytecie. Śmiało można powiedzieć, że ani jeden produkt mineralny kraju nie uszedł przed bacznem i biegłem analitycznem jego okiem. Wykrył przeto i wprowadził do nauki wiele nowych gatunków i odmian minerałów kordyljerskich, pomieszczonych w trzech wydaniach jego mineralogji, obejmującej głównie minerały Chili, Boliwji, Peru i Argentyny.

Nie zważając na trudy i niebezpieczeństwa wypraw w dzikie góry, zawalone odwiecznemi głazami i pokryte nieprzebytemi dziewiczemi lasami, Domeyko zwiedza szczytowe kratery nieznanych dotąd wulkanów.

Zapracowany w służbie publicznej, dopiero w roku 1850 zakłada sobie dom rodzinny, żeniąc się z Henryką Sotomayor. Z tego małżeństwa urodziło się dwuch synów i córka. W roku 1867 zostaje wybrany rektorem uniwersytetu i odtąd co 5 lat bezustannie powierza się mu tę godność. Zajmując w ciągu 15 lat to zaszczytne stanowisko, 80-letni Domeyko zapragnął wypoczynku. W roku 1882 wybrany po raz czwarty rektorem, przyjmuje tę godność, ale tylko czasowo. W roku 1884 rada uniwersytecka w uznaniu 46-letnich zasług Domeyki, wniosła do izby deputowanych projekt przyznania mu 30.000 franków dożywotnej emerytury tak w kraju, jak i poza jego granicami. Izba a następnie senat uchwalają tę nagrodę. Liczne akademje i towarzystwa naukowe świata zaliczają go do grona swych członków.

Syt zaszczytów i sławy na obczyźnie, po 53 latach pobytu w Ameryce, zdala od swoich, nastaje dla niego upragniona chwila odwiedzenia ukochanej Litwy i uściskania swej córki, zaślubionej oddawna swemu bratu stryjecznemu, wreszcie pokazania dwum synom kraju rodzinnego ich ojca.

Dnia 23. maja 1884 roku cała ludność stolicy republiki z rządowymi dostojnikami na czele odprowadza Domeykę na dworzec. W paradnym wagonie prezydenta republiki odwieziono go do portu Valparaiso. W sierpniu zawitał do swej córki na Litwie, odwiedzając w każdym roku Warszawę, Kraków i t. d. W roku 1887 pojechał do Rzymu na wyświęcenie swego syna, który poświęcił się stanowi duchownemu. Młodszy jego syn, Kazimierz, jako stypendysta Republiki Chilijskiej, uczęszczał wtedy do akademji górniczej w Paryżu.

W jesieni 1888, czując się zdrowym i silnym, postanowił dotrzymać przyrzeczenia danego Chilijczykom, zabrał swoich dwuch synów, aby ich oddać pod opiekę swych ptzyjaciół i wyruszył z nimi do Chili, nosząc się z zamiarem powrotu do córki na Litwę. Trudów podróży siły jego jednak już nie wytrzymały. Dnia 23. stycznia 1889 zmarł w Santiago.

Nie słyszałem, aby w Polsce Niepodległej zasłużona postać Ignacio Domeyki była znaną i popularną. Należałoby ją odgrzebać w kraju i ocenić. Jeśli w każdem mieście i miasteczku w Chili znajduje się ulica jego imienia, myślę, że Rada Miejska w Król. Hucie, jako pierwsza, poświęci jedną ze swoich ulic jego czcigodnej pamięci. Za przykładem Król. Huty pójdą inne rady miejskie i gminne na Śląsku.

INŻ. AUGUST GNIŁKA, CHUQUICAMATA

★ ★

Gdy byłem w Tangerze...

Słońce śmiało się wysoko, gdy parowiec zanurzał się w szklistej tafli Oceanu Atlantyckiego, mając przed sobą drogę daleką, bo aż do wschodniej Afryki. Tylko na pierwszy rzut oka ocean wydawał się bezbrzeżny, bo zapuściwszy oko w dal, można było dostrzec cienką linijkę brzegów portugalskich. Wielka wstęga mew majestatycznie ciągnęła za statkiem, chwilami rzucając się na powierzchnię morza, aby wyłowić z niej odpadki kuchenne.

Mapa Tangeru



Ta masa mew świadczyła o bliskości lądu. Parowiec nie miał wielu pasażerów, a to dlatego, że pasażerowie udający się do wschodniej Afryki wsiadają zwykle w Genui, aby zaoszczędzić sobie nudnego okrążania półwyspu Pirenejskiego.

Pierwsze klasy mają wyjątkowo tylko 30 pasażerów, to też każdy urządza sie tak wygodnie jak chce. Przed 10 dniami parowiec „Uzambara“ wyjechał z Gdańska, zatrzymał się kilka dni w Antwerpji, a potem



Zaklinacz chwycił ręką węża...

ledwie zaczepił o Southampton i Lizbonę. Podróż była bardzo przyjemna i pogoda dopisywała. To też nic dziwnego, że wśród zgromadzonych pasażerów panował nastrój bardzo wesoły.

Przespaliśmy niczem nie zakłóconą noc, a rano zbudził nas melodyjny głos trąbki, wypędzając wszystkich na pokład okrętu, gdzie pełną piersią wciągaliśmy z rozkoszą ostre morskie powietrze. Kilometrowy spis potraw jeszcze bardziej podniecał apetyt. Co za rozkosz znajdować się wśród bezmiernych wód oceanu, gdzie nic nie zakłóca nam spokoju, a wszelka praca i troski zostały daleko poza nami.

Ja właśnie należałem do takich szczęśliwych pasażerów, to też, skończywszy śniadanie, wmieszałem się w towarzystwo spacerujące po pokładzie. Wśród tego towarzystwa znajdował się sławny uczony szwajcarski, dr. Welti, badacz Arabów i islamu. Był to mężczyzna o ostrych rysach twarzy, silnej budowy, a całe jego zachowanie świadczyło, że należy do ludzi nieprzeciętnych. Napewno nie było wśród nas nikogo, ktoby go nie znał z gazet lub jego książek. Odważnie i badawczo patrzące jego oczy znamionowały człowieka czynu.

Dla dr. Welti ta podróż nie była nowością. Znający dobrze język arabski, dr. Welti poznał tajemnice północnej Afryki tak dobrze, jak żaden europejczyk do tego czasu.

Ponieważ mieliśmy jeden cel podróży i, jak się później pokazało, przy bliższem poznaniu, posiadaliśmy również dużo wspólnych cech duchowych, prędko między nami zawiązała się serdeczna przyjaźń.

Kiedy byliśmy zajęci rozmową, kapitan inspekcyjny, którego znałem już z dawnych moich podróży i który swoim zwyczajem obchodził cały statek, przystąpił do nas i zapytał: „Czy panowie nie zmienią swojego zamiaru i jutro napewno wysiądą w Tangerze? Panowie mi jeszcze nic nie opowiedzieli, dokąd tym razem zmierza ich podróż.

— Drogi kapitanie, żebyśmy to sami wiedzieli — odparłem — Nasz program jazdy nietylko nie jest ułożony, ale nawet nie został obmyślony. Jedno jest tylko pewne, że wysiadamy w Tangerze. Co do mnie, to zamierzam udać się trochę lądem w wschodnim kierunku. To potrwa tak długo, na jak długo starczy mi środków materjalnych.

Przyjazd do Tangeru...

Następnego ranka wpłynęła „Uzambara" w cieśninę Gibraltarską i wkrótce zarzuciła kotwicę w Tangerze. Północno-zachodni cypel, przed chwilą jeszcze pogrążony w cieniu, zajaśniał przed naszemi oczyma w potokach słońca.

Jakby przylepione, błyszczące bielą, typowe orjentalne miasto roztaczało się przed nami i witało nas

wody, że niktby nie pomyślał, że to miasto przeżywa ciągle takie niepokoje polityczne i jest siedzibą różnych nacyj, stale walczących między sobą. Zatoka do której wjechaliśmy, miała kształt podkowy i była ujęta w masy żółtego piasku. W dali wznosiły się potężne góry niedostępne i niezdobyte Na drugiej stronie cieśniny widać było najbardziej południowy kraniec Europy, Punta Marroqui, a gdyśmy uzbroili wzrok swój w lornetki, zobaczyliśmy trochę dalej położone miasto hiszpańskie Tarifa Oddzielone wąską przestrzenią są siadują tu ze sobą dwa różne światy — Europa i Afryka. Po stronie europejskiej skalisty i groźny Gibraltar, podobny ze swoich kształtów do lwa, ostoja mocarstwa brytyjskiego na ziemi hiszpańskiej — po drugiej stronie, mimo narzucania wpływów politycznych i gospodarczych przez państwa europejskie, rozciąga się ziemia ciągle pełna tajemnic, górzyste brzegi Sahary z jej piaskami, dżunglami i tajemniczemi szczepami.



Arab marokański

„Uzambara“ zatrzymała się w Tangerze bardzo krótko, by wysadzić swoich pasażerów i zabrać nowych, wyładować towary i przez Genuę kierować się do Port Saidu. Ja i mój towarzysz podróży, dr. Welti, należeliśmy do tych pasażerów, którzy wysiedli. Gdyśmy wysiedli, nie odczuwaliśmy wielkiej przyjemności. Dziś, gdy zawitaliśmy do Tangeru, nie było tu tak romantycznie i dziko jak wtedy, gdy Maghrib el-Aksa, tj. najodleglejszy zachód — jak Marokko nazywany jest przez Arabów — był krajem niezależnym, a przybysz stykał się tylko z tubylcami.

Ale mimo tych różnych nowości, jakie tu w międzyczasie przyszły, przyjęcie i tym razem było osobliwe. Znaleźli się zaraz przewodnicy, którzy ofiarowali się nam towarzyszyć. Tymczasem zaczęli się gromadzić na pokładzie i kłócić się ze sobą i wyrywać sobie pakunki. Każdy wychwalał swoje zalety, swoją uczciwość, innych natomiast ganił i okropnie oczerniał... W tych zawodach o zdobycie pakunków, oczywiście ten wygrywał, kto miał silniejsze pięści... I te zawody odbywały się przed nami bezustannie... Co chwila nasze pakunki znajdowały się w innych rękach... A każdy zwyciężony w tych zawodach zwracał się do nas po zapłatę... Rozglądaliśmy się za policjantem uzbrojonym w pałkę gumową, aleśmy sobie przypomnieli, że to przecież nie Europa. Oprócz tego odbyliśmy uciążliwą kontrolę paszportową i celną aż wreszcie dostaliśmy przewodnika, który poprowadził nas do Tangeru.

Na ulicach Tangeru

Znaleźliśmy się w małym hotelu cuchnącym czosnkiem. Jednak wiele się i tu zmieniło od czasu wojny światowej... Miasto się rozrosło, stare mury, które go otaczały, rozsypały się, część miasta zamieszkana przez europejczyków powiększyła się, ale środek miasta pozostał taki sam jak dawniej... Ulice wąskie, źle zabrukowane, brudne, pełno ciemnych zaułków i dołów.

Tanger znajduje się w przejściu z Morza Śródziemnego na Atlantyk, to też ludy zamieszkałe nad Morzem Śródziemnem stale się o niego ocierały i ślady ich wpływów spotyka się tu na każdym kroku. W ciągu tysiąca lat były tu różne narodowości, które jedne drugim miejsca ustępowały i topiły tu swe własności jak w tyglu. Tu spotyka się ze sobą Europa południowa z Afryką północną. Tu widzi się czarną Murzynkę, a obok niej wypielęgnowaną twarz Hiszpanki.

Gdy się wyjdzie na miasto, zamiast posuwać się naprzód, kołuje się w jednem miejscu. Ulice biegną



Ulica w Tangerze

Na ulicach kobiet mahometańskich prawie się nie widzi. One chodzą według religijnych przepisów zupełnie okryte w czarne lub białe chusty, które przed obliczem w ręce trzymają. Z odkrytem obliczem idą tylko wieśniaczki z koszami jarzyn, masła i jaj na targ do miasta. Te mają na głowach olbrzymie kapelusze słomiane, które chronią je od słońca.

Wszędzie na wszystkich rogach ulic kręcą się żebracy, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę głośnem modleniem lub narzekaniem. Między nimi widzi się dużo ślepców. Są to ofiary albo strasznej choroby oczu, która grasuje w całej północnej Afryce, albo okrucieństwa tutejszej sprawiedliwości. Zanim ułożyły się tu stosunki polityczne, prawo marokańskie nie cofało się przed niczem. Przestępcom nietylko obcinano ręce lub nogi, ale wykłuwano im oczy.

Nagle koło nas powstał wielki krzyk. Ujrzeliśmy dwuch ludzi... Otaczała ich gawiedź... Z ust jednego w arabskim języku wylatywał cały potok brudnych przekleństw, pięści jego pełne groźby wznosiły się do góry, albo kierowały się w różne strony... Zdawało się, że kogoś tu zmasakrują... Tymczasem nikt tego poważnie nie brał, bo takie sceny są tu w zwyczaju. Mimo tych strasznych gróźb i przekleństw, naczęściej rozchodzi się tu o drobiazg i cała awantura zakończy się pokojowo. Gdy kłótnia dojdzie do punktu kulminacyjnego, jeden drugiemu strąci fez z głowy, obydwaj następnie je podniosą i każdy odejdzie w swoją stronę.

chaotycznie i nie można się w nich zorjentować. Na ulicach widzi się gromady ludzi, którzy rozmawiają z sobą krzykliwie, gestykulując rękami, a wśród tego juczne zwierzęta, obładowane ciężarami ponad ich siły, pogania się batem, by przecisnąć się wśród rozkrzyczanego tłumu. Starsi tubylcy noszą długie brody i są okryci w burnusy z grubej wełny. Górna część burnusa ma kształt kaptura, który zarzuca się na głowę. Inni znowu w bufiastych pantalonach i babuchach na nogach.

Obok Maurów marokańskich widzi się Kabylów z kraju Refinów. Ci mają wygolone czaszki z jednym tylko lokiem nad prawem uchem i wyglądają groźnie. Dawniej oprócz strzelby na ramieniu nosili u boku miecz za pasem, którym się posługiwali przy każdej kłótni i sposobności. Z wielkim bólem z tych starych przyzwyczajeń teraz zrezygnowali. Tam znowu widzi się urodzonych tu żydów, którzy przebywają tu od setek lat i w wielkiej liczbie zamieszkują miasta. Żydzi ci przyjęli zwyczaje Arabów i do nich się dopasowali. Widzi się także dostojne postacie Arabów marokańskich o szlachetnym wyrazie twarzy, którzy śpieszą konno albo pieszo. Ci noszą śnieżno-białe burnusy z delikatnej wełny.

Policja polityczna...

Tak idąc doszliśmy do centrum starego miasta. Tutaj się zbierają wszyscy, którzy chcą otrzymać różne wiadomości. Tu przy filiżance kawy można się dowiedzieć wszystkiego, co komu potrzeba. Zwabił nas aromatyczny zapach kawy. Usiedliśmy na ławce i kazaliśmy sobie podać po filiżance kawy. Według orjentalnych zwyczajów kawę przyrządza się na oczach gościa na każdą filiżankę osobno. Arab wrzuca ziarnka kawy do młynka, z którego przez mały lejek u dołu wysypuje się do miedzianego kubka proszek, do tego dodaje miałkiego cukru, na to wlewa wrzącą wodę, stawia na rozżarzonych węglach i czeka aż się spieni zawartość naczynia. Wtedy kawa jest gotowa. Jest mocna i słodka.

Kiedy wraz z dr. Welti popijałem mocną kawę i przysłuchiwałem się jego opowiadaniom na temat tego kraju, spostrzegliśmy, że jesteśmy obserwowani. Już

po opuszczeniu hotelu zauważyliśmy, że nas jakiś tubylec obserwuje. Miał on postać niepokaźną, ale twarz miał o inteligentnych rysach i w spojrzeniu jego było coś osobliwego. Taka właściwość w spojrzeniu cechuje wszystkich ludzi z tajnej policji. Gdyśmy na niego zwrócili uwagę, spostrzegł to i zniknął w ulicznym tłumie. A gdyśmy dalej ruszyli i przystawali, słyszeliśmy za sobą jego kroki. W tej chwili siedział niedaleko nas, udając, że jest zaczytany w arabskiej gazecie, ale w rzeczywistości nadstawiał uszu na to, cośmy mówili. Widać znał dobrze język francuski, co nas wcale nie zdziwiło, bo policja polityczna w tym kraju włada kilkoma językami. Nie mogłem powstrzymać śmiechu... Stara metoda szpiegowania wszystkich cudzoziemców zachowała się.



Wnętrze domu w Tangerze

Ponieważ podróżowałem po Marokko przed wojną, byłem do tego przyzwyczajony. To szpiegowanie prędko się skończy, gdy się przekonają, że podróżny nie przyjechał tu w jakichś celach politycznych lub podejrzanych. Gdy się jest skromnym turystą, ani się o tem nie myśli, że go szpiegują wszyscy, rozpoczynając od kelnera, boya hotelowego, a skończywszy na przewodnikach. Tu wszystko jest na usługach politycznej policji. Wkrótce zbiorą wszystko, co im jest potrzebne, np. w jakiem towarzystwie obcokrajowiec przebywa, skąd otrzymuje listy i jakie, co go najbardziej w kraju interesuje.

Te środki ostrożności są tu do pewnego stopnia usprawiedliwione, bo Tanger jest stałym przedmiotem zainteresowania ze strony różnych państw i często zjawiają się tu ich agenci lub też emisarjusze tubylczych plemion, które pragną tu wywołać rozruchy rewolucyjne. Również dzisiaj te środki ostrożności ze strony władz miejscowych nie zostały zaniechane, chociaż neutralność Tangeru jest uznana przez układy międzynarodowe. Istnieje tu jednak ciągle współzawodnictwo wpływów trzech mocarstw, jak Francji, Angli i Hiszpanji, zainteresowanych w Marokko.

Opuściliśmy kawiarnię i udaliśmy się w kierunku dzielnicy starego miasta, jeszcze otoczonej murami. Tu panował wielki zgiełk, bo popisywał się wobec zgromadzonych zaklinacz wężów. Był to już starszy mężczyzna, klęczący na dywaniku. Przed nim stał półotwarty koszyk, z którego trzy albo cztery węże wysuwały głowy i falowały nimi w takt muzyki, składającej się z trzech muzykantów. To nas też zainteresowało i znaleźliśmy się wśród stłoczonej gawiedzi. Gdyśmy spojrzeli w bronzową twarz zaklinacza, w jego błyszczące niesamowite oczy, w jego ascetyczny wyraz twarzy, musieliśmy nabrać przekonania, że ten tłum słusznie nazywa tutejszych zaklinaczy czarodziejami. Gdy patrzyłem na tego zaklinacza, miałem wrażenie, że tego człowieka znam, że go już gdzieś widziałem, a gdzie i kiedy nie mogę sobie przypomnieć. I zaklinaczowi moja twarz nie wydała się obcą, bo spojrzenie swoje głęboko zatopił w moich oczach, a usta mu zadrgały i tak się ułożyły, jakby mi miały coś powiedzieć.

Muzykanci uderzyli w struny, zaklinacz powstał i jak w transie przystąpił do wężów. W tym momencie jeden z wężów wyprężył się w górę, uniósł się wysoko i, kołysząc się w takt muzyki, zaczął się posuwać za swoim tańczącym panem. Był to wąż egipski, czczony od niepamiętnych czasów, nietylko w Egipcie, ale również w Rzymie i Grecji. Wąż ten był uważany za symbol siły życia i śmierci i nie brak go było we wszystkich starożytnych rzeźbach, a nawet w diademach faraonów egipskich.

W miarę dzikiego tempa muzyki i coraz szybszego tańca zaklinacza, wąż w tem samem tempie się posuwał, wysuwając naprzód swoją straszną głowę. Chwilami miało się wrażenie, że wąż rzuci się na swego pana i zagłębi jadowite zęby w jego ciele. I ten moment przyszedł... Wąż wyprężył się i skoczył na swego pana... Tłum wydał przeraźliwy wrzask... Tymczasem zaklinacz swoją muskularną i pewną ręką uchwycił węża, który przed chwilą był jeszcze wyprężony i nieugięty... W tej chwili pod dotknięciem ręki zaklinacza opadał bezwładnie na ziemię... Zaklinacz przyciągnął węża do siebie, a wąż drgając z bojaźni szybko ukrył się w koszyku.

Pomruk podziwu przebiegł tłum... Tak wyglądało, jakby zaklinacz odniósł zwycięstwo nietylko nad tym wężem, ale i nad tłumem... Wszyscy byli pod wrażeniem potęgi jego wzroku, tych oczu pełnych fanatyzmu i władztwa, które wywierały jakiś wpływ usypiający, które łamały każdą wolę.

DR. W. KORYTOWSKI, MARSYLJA

STANISŁAW PATEK

Stanisław Patek ujrzał światło dzienne 1-go maja 1866 roku we wsi Policzna powiatu kozienickiego, ziemi Radomskiej, jako syn Aleksandra i Emilji.

Pochodzi z rodziny ziemiańskiej. Z rodu jego wymienić należy Franciszka Patka, pułkownika Strzelców Konnych z czasów Królestwa Kongresowego. Jeden z Patków, uczestnik walk o niepodległość 1831 r. wyemigrowawszy po klęsce powstańczej z kraju, ożenił się na wygnaniu z córką właściciela fabryki zegarków w Genewie. Objąwszy po śmierci swego teścia tę fabrykę, jako zdolny administrator, tak ją poprowadził, że wkrótce zyskał dla niej sławę wszechświatową. Trzeci z rodu stracony został przez władze moskiewskie w Radomiu.

Lata dziecinne Stanisława Patka upłynęły we wsi rodzinnej, poczem oddany zostaje do gimnazjum w Radomiu, które ukończył w 1885 roku. Już w czasach szkolnych żywo interesował się sprawami dotyczącemi Polski, dowodem czego jest napisana przezeń wówczas praca na temat: „Ekonomiczny stan polski za czasów Stanisława Augusta".

Studja uniwersyteckie odbywał w Warszawie, gdzie 1889 roku ukończył wydział prawny, a następnie po kilku latach aplikacji, poświęcił się zawodowi adwokackiemu.

Od pierwszych nieomal dni swej działalności prawniczej, Patek poświęcił się obronom politycznym, organizując *„Koło Obrońców Politycznych,"* do którego poza nim należeli adwokaci: Papieski, Skokowski, Sobolewski, Makowski, Śmiarowski, Szumański i wielu wielu innych. Członkowie tego *„Koła"* pracowali niezwykle intensywnie, nie znając niejednokrotnie, co to wypoczynek. To też chociaż tragiczna statystyka z tego okresu wykazuje wielu skazanych, to jednakże ocalonych można było równocześnie liczyć na setki, jeżeli nie na tysiące.

Okres obron politycznych stanowił w życiu Patka jedną z najbogatszych epok. Iluż to działaczy niepodległościowych korzystało z jego pomocy, od której nigdy się nie uchylał? Do najgłośniejszych spraw, w jakich w owych czasach występował w charakterze obrońcy, należą procesy: Okrzei, Montwiłła, Bezdan, Organizacji Wojennej, Polskiej Macierzy Szkolnej i t.d.

Dewizą grona ówczesnych obrońców politycznych było hasło: „Oni bronią wolności a my musimy ich bronić." Z pełnem też poświęceniem, nie bacząc na stronę materjalną, spieszyli z pomocą tym bojownikom o wolność Ojczyzny, byle tylko którego z nich wyrwać ze szponów najeźdźcy, byle tylko przywrócić ich Narodowi, aby nadal mu przewodzili, aż do chwili ostatecznego wyzwolenia z pęt niewoli. Pociągnęło to za sobą wiele ofiar z pośród obrońców, w stosunku do których władze moskiewskie poczęły stosować ostre represje, wykreślając ich z listy adwokatów. Los taki spotkał i Patka.

Mieszkanie Patka było w owych czasach Mekką, do której zdążali wszyscy pracujący dla ruchu niepodległościowego. Było ono, jak to podniósł sąd moskiewski, pozbawiając Patka prawa praktyki — nie kancelarją adwokacką, lecz *„biurem polskiego rządu nielegalnego"*. Przychodzili tu wszyscy, wiedząc, że ratunek jest właśnie w tem mieszkaniu.



Stanisław Patek
Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie

Obok pracy adwokackiej Patek wiele poświęcał czasu działalności oświatowo - kulturalnej i społecznej. Oto kiedy około 1890 roku nastąpiły na terenie b. zaboru rosyjskiego pewne ułatwienia w zakładaniu prywatnych szkół początkowych, powstały w Warszawie dwa kółka, mające na celu organizowanie tych szkół. W kilka lat później Patek stanął znów na czele tajnego *„Towarzystwa Pomocy Więźniom Politycznym"*.

Na samym początku wojny światowej w 1914 roku Patek wespół z Arturem Śliwińskim, jako delegaci obozu niepodległościowego, przedostali się przez teren walk do Kielc, gdzie wówczas znajdował się Józef Piłsudski. Z Kielc obaj udali się do Krakowa, celem porozumienia się z Naczelnym Komitetem Narodowym.

Rozstawszy się z Arturem Śliwińskim, który wrócił do Warszawy, Patek przez Austrję i Szwajcarję udał się do Francji i Anglji. We Francji trafił na chwilę, kiedy rząd francuski przeniósł się z Paryża do Bordeaux. Tam to zapoznał się wtedy z późniejszym wielkim francuskim mężem stanu, a ówczesnym redaktorem *„L'homme libre"* — Clemenceau.

Powróciwszy do kraju, Patek, w okresie okupacji niemieckiej 1916 roku, żywy przyjmował udział w organizowaniu w stolicy pierwszej Rady Miejskiej, której też został członkiem i wiceprezesem jej Komisji Prawniczej. Ówczesna Rada Miejska była jedną z pierwszych organizacyj polskich. Weszły też do niej najlepsze siły, jakiemi wówczas rozporządzała Warszawa. W miarę dalszego rozwoju polskiego życia państwowotwórczego wszystkie nowopowstałe instytucje czerpały z niej materjał ludzki.

Z chwilą gdy w 1916 roku wyłoniona została Rada Narodowa, Patek wszedł w jej skład. Ponadto, poczynając od 1917 roku, brał czynny udział w orga-



Gmach Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie

nizowaniu polskiego sądownictwa, początkowo jako przewodniczący Departamentu Karnego Warszawskiego Sądu Apelacyjnego, a następnie (1918 r.) jako członek Sądu Najwyższego.

W tym okresie czasu został przez niemieckie władze okupacyjne aresztowany, a następnie internowany w obozie jeńców w Grzmiącej, gdzie przebywał zgórą pół roku.

Po dniach listopadowych 1918 roku Patek został delegowany przez Naezelnika Państwa Józefa Piłsudskiego na Konferencję Pokojową w Wersalu. W Delegacji Polskiej był czynnym członkiem wielu komisyj. Głównie jednak pracował w Międzynarodowej Komisji Pracy, a także zabiegał w sprawie przyznania Polsce Galicji Wschodniej. Usiłowania jego pomyślne dały dla Polski wyniki, w czem wiele mu pomogła jego znajomość z Clemenceau, wówczas już jednym z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego świata politycznego.

Po powrocie do kraju Patek w dniu 13. grudnia 1919 roku mianowany został ministrem spraw zagranicznych w gabinecie Leopolda Skulskiego, piastując to stanowisko do 8. czerwca 1920 roku. W okresie jego urzędowania wojna polsko-bolszewicka doszła do szczytu swego napięcia. Armja polska w zwycięskim pochodzie posunęła się głęboko w głąb Ukrainy, zajmując stolicę jej Kijów. Skoncentrowane wojska bolszewickie rozpoczęły wówczas wielką na całym froncie ofenzywę, pod naporem której oddziały polskie rozpoczęły odwrót. Wytworzyła się groźna sytuacja: najeźdźca zagrażał stolicy.

Pod wrażeniem tej grozy rząd Skulskiego podał się do dymisji, powaga chwili wymagała bowiem, aby ster nawy państwowej objęli przedstawiciele całego Narodu.

W roku 1921 Stanisław Patek został mianowany ministrem pełnomocnym Rzeczypospolitej w Japonji. Na stanowisku tem pozostawał przez pięć lat aż do 1926 roku. On to, jako dosłownie pierwszy poseł polski przy rządzie Mikada, doprowadził do nawiązania szczerze przyjaznych stosunków między Rzeczypospolitą a państwem japońskiem.

Po wielkiem trzęsieniu ziemi w 1923 roku w Japonji, Patek żywy przyjmował udział w niesieniu pomocy nieszczęśliwym mieszkańcom tego kraju, za co otrzymał od cesarza japońskiego medal zasługi, a Japoński Czerwony Krzyż obdarzył go tytułem członka nadzwyczajnego.

Potem objął stanowisko Ministra pełnomocnego przy Rządzie Socjalistycznych Republikańskich Rad w Moskwie, obecnie zaś przebywa jako ambasador Rzeczypospolitej w Waszyngtonie.

Obrazki do pierwszej Komunji św.

Przeczytaj artykuł na str. 31



TANGER *Wieża meczetu*

Meksyk / „Żeby cię pochłonęło piekło na ziemi!"

Według opisów podróżnika prof. Józefa Stankiewicza, przebywającego obecnie w Paryżu

W każdą noc przeciąga przez miasto policja i zbiera żebraków, którzy noce spędzają na progach domów, niepokoi pijaków leżących w rynsztokach, zabiera chore kobiety i włóczące się dzieci, by je zbadać i oddać do przytułków. Spisuje protokuły na szynkarzy z powodu brudu na stołach i w szklankach. Natomiast w biały dzień na oczach policji wolno się upijać, bić się i strzelać...

A ludzie mrą jak muchy. Przedewszystkiem zagłodzone, gruźliczne i skrofuliczne dzieci... W składach z trumnami przeważnie można spostrzec trumienki dla dzieci... Nędza w Meksyku jest przerażająca, straszne choroby dziesiątkują ludność. Zły klimat powoduje ich rozwój, a nędza je rozwleka... Wszystko to stwarza nędza, a nędzę nie potrafi pokonać żadna policja na świecie.. Meksykańska nie może stanowić wyjątku...

Jest znamienne, że żebraków nazywa się tu leperosami, z powodu ich brudu, parchów i roznoszenia chorób. Pewien stary podróżnik w swoich opisach daje dobry obrazek z życia meksykańskich żebraków.

„Na miłość Najczystszej Panienki — woła żebrak — miejcie litość nademną... Na rany cierpiącego i umierającego Zbawiciela zaklinam was, miejcie litość nad mojemi cierpieniami... W nadziei niebieskich rozkoszy, współczujcie w mojej niedoli... Ja będę się modlić i błagać, aby wszystkie błogosławieństwa ziemi i nieba na wieki przypadły wam w udziale...

Ale przechodzeń idzie obojętnie, a za nim z ust tego samego żebraka sypią się z całą furją przekleństwa: „Żeby cię pochłonęło piekło na ziemi... Żeby cię węże i jadowite żmije zatruły... Niech cię wszyscy święci w niebie zniszczą... Żebyś cierpiał zanim umrzesz... A ciało twoje, żeby nigdy nie zostałe pogrzebane!?!

O policji w Meksyku mówią tak: „*Nic nie wolno Wszystko jest wzbronione!*" Ale już np. kierowca samochodu jest zdania, że nic nie jest wzbronione, wszystko dozwolone. I policja istotnie zamyka oczy na wszystko. Naprzykład przepisami o regulacji ruchu w Meksyku zapisano całą księgę. Tymczasem połowa wśród całych tysięcy szoferów w stolicy Meksyku znajduje się na stopie wojennej i z pisaniem i z czytaniem.

Zezwolenie na jazdę otrzymuje się w sposób następujący: Kupuje się wóz, płaci się za niego połowę, siada się przy kierownicy i jedzie się. Nie zdarza się aby ktoś nie umiał tu prowadzić auta. Najprzód zajeżdża się do policji ruchu, t. zw. „*Departemento de Trafico*". Tu melduje się wóz, natychmiast otrzymuje się numer, a jeden z policjantów siada obok, by sprawność wozu i kierowcy wypróbować. Wraz z policjantem robi się przejażdżkę do najbliższego parku, a w drodze powrotnej odwiedza się „narzeczoną" policjanta, wkońcu zaprasza się oboje do restauracji i wtedy próba zostaje uznana za zadawalającą wladze policyjne i przeszkód już żadnych nie będzie. Po dwuch do trzech godzin wspólnej libacji z policjantem i jego „narzeczoną", we trójkę jedzie się do „*Departemento de Trafico*", wyjmuje się 10 pesos i otrzymuje się prowizoryczne zezwolenie na jazdę na przeciąg tygodnia. Wtedy nie pozostaje nic innego jak odwieźć „narzeczoną" i policjanta oczywiście do jej domu.

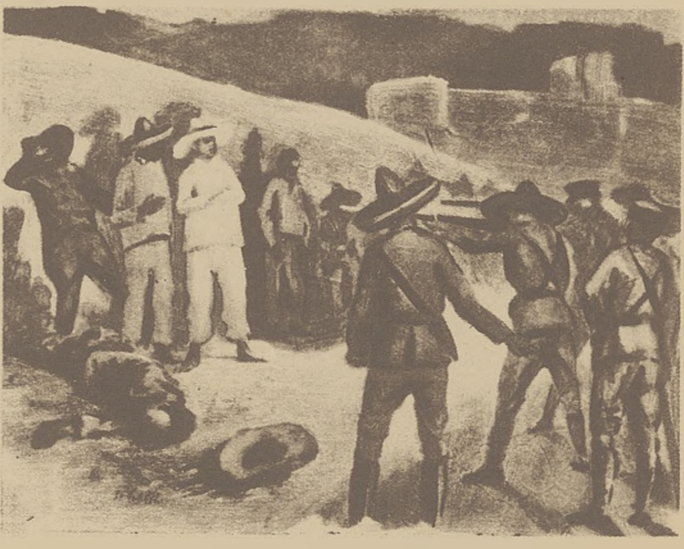
Jeżeli w przeciągu tygodnia właściciel samochodu nie przejedzie nikogo i nie będzie zanotowany, wówczas czas próby będzie uznany za skończony i kierowca otrzymuje normalne zezwolenie na cały rok. Oczywiście najlepiej w ciągu tego tygodnia próby nie kierować swoim samochodem, a wtedy nikogo się nie przejedzie i nic się nie stanie...

Gdy się już posiada prawo jazdy, jednocześnie zdobywa się prawo na omijanie wszystkich przepisów. Wówczas wolno ci jeździć jak chcesz: z prawej strony, z lewej, naprzód, wtył, zygzakami, najszybciej — byle nikogo nie przejechać. W najgorszym razie należy znać rozkład ulic i miejsca postojów.

Z policjantem, czyli z władzą, należy się liczyć jedynie na skrzyżowaniu ulic i jest rzeczą wskazaną, by przejeżdżać tam pod kierunkiem policjanta. Ale i tam krępować się nie trzeba, gdy się ma na aucie znak, iż jest to wóz należący do dyplomaty.

Zresztą przez ulicę wolno jechać z szybkością 120 kilometrów na godzinę, z otwartymi dymnikami, można wjechać na chodnik, gdy trzeba nawrócić. Tylko należy się starać, by karta jazdy była w porządku, t. j. by w niej te wszystkie uchybienia zanotowane nie były, bo zdarza się, że ni stąd ni zowąd przyskoczy policjant do auta i zażąda karty. Najczęściej rozchodzi się nie o kartę jazdy, ale o to, czy ta karta należy do tego, który ją w tej chwili posiada. Zdarza się to wtedy, gdy złodzieje poczynają kraść auta na postojach. Nieszczęścia prawie się nigdy nie zdarzają mimo wąskich ulic i ciasnych przejazdów. Jest to za-

(Ciąg dalszy na str. 12)



Porfio Diaz zaprowadza porządek w Meksyku

Organizacje polskie w Ameryce,

które pragną informować rodaków w kraju macierzystym o swej działalności i żywotności, niechaj zaprenumerują sobie „Polaków w całym świecie."



POSELSTWO POLSKIE

MEXICO, D. F.

No. 325.a/2

dnia 25 września 1933 r.

Poselstwo życzy Szanownemu Panu najlepszego powodzenia w podjętej pracy.

TADEUSZ JAROCKI
Attaché Poselstwa

Pismo Poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej w Meksyku z życzeniami dla wydawcy „Polaków w całym świecie"

(Ciąg dalszy ze str. 10)
sługą przedewszystkiem publiczności, która nie chce narażać się na wypadki, więc uważa na policjantów, którzy dają znaki, kiedy należy przechodzić. Nikt tu ulic nie przebiega. Przechodzi się tylko na rogach ulic.

Czasami zderzą się pojazdy ze sobą, ale zazwyczaj bez poważnych następstw. Szoferzy zeklną się wzajemnie ja' iemiś epitetami, zanim nie nadejdzie policjant, aby zapytać się, co się stało. Na widok policjanta skłóceni ulatniają się jak kamfora. Małe szkody natychmiast sobie zwracają. Jak się załatwiło porachunki między sobą, nikt na siebie nawzajem nie skarży.

Mnie się zdarzyło, że raz moim wypożyczonym małym Fordem najechałem na rowerzystę i uszkodziłem mu jedno koło. Powstało wielkie zbiegowisko. Gdzieś z kąta wylazł policjant, włożył ręce do kieszeni i najspokojniej w świecie zaczął pośredniczyć między mną i poszkodowanym rowerzystą. Zapłaciłem 3 pesos, bo na taką sumę oszacowano uszkodzone koło. Obeszło się bez kłótni, bez protokułu i bez rozprawy sądowej. W takim olbrzymim kołowym ruchu nawet najzręczniejszemu może się coś przydarzyć.

Najgłówniejsze, żeby nikogo nie przejechać. Gdy nawet zdarzy się wypadek przejechania, nic się kierowcy nie stanie, o ile nie miało to miejsca na skrzyżowaniu ulic. Ale może się komuś zdarzyć, że mu policja odbierze kartę jazdy i wtedy kosztuje to 50 pesos, bo trzeba zabiegać o uzyskanie nowej karty.

W wagonie kolejowym poprzez puszczę

Czterej Amerykanie, o których teraz będzie mowa, znajdując się w swoich przedziałach, bezustannie od wczorajszego wieczora grają w pokera. Murzyn, który obsługuje te przedziały, ciągle kręci głową, pokazując w uśmiechu rząd białych szklistych zębów.

Pewnie dostał dobry napiwek i na wszystko zamyka oczy. Pasażerowie tłoczą się w przejściu do umywalni, kilku panów znajduje się już w palarni i czekają, żeby łóżka znów wróciły na swoje miejsca, a wagon otrzymał przyzwoity wygląd. Wszystko to trwa 5 minut i przedziały są w porządku. Podają obskurne śniadanie i okropnie drogie. Hermetycznie zamyka Murzyn okna, aby — broń Boże — nie wleciał jeden pyłek kurzu albo mucha, bo za dużo z tem byłoby roboty.

Gorąco staje się przytłaczające. Wentylatory obracają się jak szalone, ale upału nie zmniejszają. Powietrze w nieprzewietrzanych wagonach jest straszne... A jedziemy już od dwuch dni... Wychodzimy na platformę...

Murzyn, w nadziei bogatego napiwku, przynosi nam trzcinowe krzesła i spuszcza płótno, aby nas chroniło od słońca. Wjeżdżamy na wyżyny i pociąg zwalnia biegu. Po jednej i drugiej stronie toru ciągną się dzikie wyboje, brudne kałuże, a w tem stoją słupy telegraficzne zarosłe zielskiem. Wszędzie unosi się mdły zapach. Upał jest nie do opisania, duszący, parny. Ma się uczucie, że się znajdujemy w zamkniętej kuli. Pociąg przyspiesza biegu. Pulmanowski wagon toczy się równo, a trzcinowe krzesła przesuwają się tu i tam.

Zarośla wzdłuż toru stają się coraz gęstsze. Pociąg pędzi z dudnieniem po olbrzymim żelaznym moście. Na dole drzewa, wijące się rośliny i jaskrawo-czerwone łąki. Gorące powiewy idą ku nam z dziewiczych lasów.

Z innych wagonów przychodzą do nas pasażerowie. Murzyn znosi krzesła i rozstawia skórzane stoliczki. Czterech Amerykanów brakuje. Oni w dalszym ciągu są zajęci tylko swoim pokerem. Jeden z nich już przegrał 200 dolarów. O tem zebrani dowiadują się od Murzyna. Lokomotywa gwiżdże. Pociąg zagłębia się w tunelu, toczy się powoli i monotonnie Nagle zrobiło się jasno. Ale gdzie jest słońce? Na prawo i na lewo, tuż przy torze, widzimy góry, wysmukłe olbrzymy drzew spowite gęstemi zaroślami. Do samych szyn sięgają zarośla, a między szynami rośnie wysoka trawa. To dziewicza puszcza.

Pociąg trzeszczy, jakby mu było strasznie jechać przez ten las. Gęste krzewy szumią tajemniczo, gdy



Tunel na linji kolejowej wśród dziewiczej puszczy.

pociąg je mija. Pasażerowie za chowują milczenie, nawet Murzyn nie odzywa się.

Opary są coraz gęstsze, powietrze robi się tak gęste, iż zdaje się, że można je krajać. Jasna włosa szwedka, która ma zwiedzać stolicę Meksyku, wachluje się nerwowo, by złapac trochę powietrza. Twarz ma zaczerwienioną, oddech ciężki. A pociąg pędzi i pędzi i nie może się wydostać z tej dziewiczej puszczy. Gdzieś w głębi zakrzyknie zwierz, inny mu odpowie, przerażony stukiem pędzącego pociągu. Szwedka wzdrygnęła się, wytrzeszczając oczy w dal.

Długi Anglik, który do tego czasu nie odrywał się od gazety, teraz wstał i zrobił uwagę: *„Czy to nie piękna droga? Czy tu nie pięknie?"* On jest dumny z tego, że tę linję kolejową wybudowali Anglicy.

— Kosztowała 15 miljonów pesos — znów wtrąca Anglik. — Tylko ten mały odcinek... A teraz trzeba stale na nim pracować, by nie zarósł.



Cuernavaca, romantyczne osiedle rozbójników w Meksyku

Szwedka, jakby nieprzytomna wpatruje, się w kałuże, w których dwa krokodyle wylegują się w spokoju. Murzyn znów dogaduje. Szwedka przestała się już wachlować, bo nietylko jej to nic nie pomogło, ale się jeszcze zmęczyła.

Lokomotywa gwiżdże przeciągle... Pociąg przyspiesza biegu... Powietrze robi się lepsze, więcej świeże... Mdły zapach znika... Znowu gwizd lokomotywy, hamulce trzeszczą, pociąg zatrzymuje się. Ciemność lasu znikła.

Pociąg zatrzymał się na środku mostu... Po chwili znowu gwizd lokomotywy... Pociąg znowu pomału rusza... Jeszcze przez parę minut widzi się gąszcza zarośli, potem robi się widniej, a wkońcu wpada powietrze, czuje się podmuchy wiatru.

Wtedy czterej Amerykanie, którym przy pokerze zrobiło się za gorąco, wyszli na platformę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Za późno!

Pociąg zatrzymał się na stacji w małej wiosce indyjskiej z małymi domkami krytymi liśćmi palmowymi. Tubylcy patrzą ciekawie i zazdrośnie na wagony pulmanowskie, którymi chcieliby choć raz w życiu się przejechać, chociaż je wynaleźli przeklęci Amerykanie, których tak bardzo nienawidzą.

Bronzowe, prawie nagie i tchórzliwe dzieci sprzedają smakołyki tubylców. „Kultura" zaczęła się znowu. Przychodzą konduktorzy i pasażerowie schodzą do wagonów na obiad. Najwięcej to sprawia uciechy Murzynom, którzy z radości śmieją się i gwiżdżą.

Czterej Amerykanie zajęli teraz miejsca w palarni i kończą przerwanego pokera. Obok nich stoi talerz z przekąskami i szklanki z piwem,... bo na zjedzenie obiadu nie mają czasu.

Jasnowłosa Szwedka już po obiedzie wypoczywa w kącie swego przedziału. Rozkoszne uczucie sytości, znużenia i zadowolenia napełnia wagon pulmanowski... Gdyby ktoś chciał troszkę przewietrzyć wagon i otworzyć okno, musi tego zaniechać, bo konduktor jak czujny pies pilnuje, żeby tego nikt nie zrobił.

Zapanowała głucha cisza. Od dłuższego już czasu jedni czytają już po raz dwunasty stary numer „Saturday Evening Post", drudzy studjują anonse, inni znów grają w loterję o paczki papierosów, które przynosi konduktor.

Noc zapada gwałtownie... Zjawia się Murzyn który zapytuje, jakie pasażerowie mają życzenia. Grający w karty w palarni kończą ostatnią stawkę i żądają już po raz ósmy czarnej kawy. Kolacja obiadowi jest podobna, odbywa się monotonnie i jest tak samo droga jak obiad. Spożywa się ją szybko, bez przyjemności. Z niecierpliwością czekają pasażerowie, żeby przyszedł Murzyn i zaczął przygotowywać łóżka.

Nareszcie to zrobił. Pasażerowie udają się do swoich łóżek, które są oddzielone zasłonami. O 9-tej godzinie konduktor wyłącza światło. Tylko dwie maleńkie lampki rzucają mdłe światło na długi wagon i monotonnie brzęczy wentylator. Murzyn odbiera obuwie od pasażerów i włazi do przedziału, gdzie grają w pokera. W tej chwili skończyli ostatnią rundę, ale znów nową zaczynają...

Pociąg stuka i kołysze się jak okręt. Pasażerowie śpią głęboko po upalnym dniu tropikalnym. Konduktor, który siedzi przy drzwiach, zdrzemnął się. Tylko Murzyn czuwa. Stoi za grającymi i kibicuje im w nadziei, że otrzyma coś z wygranych.

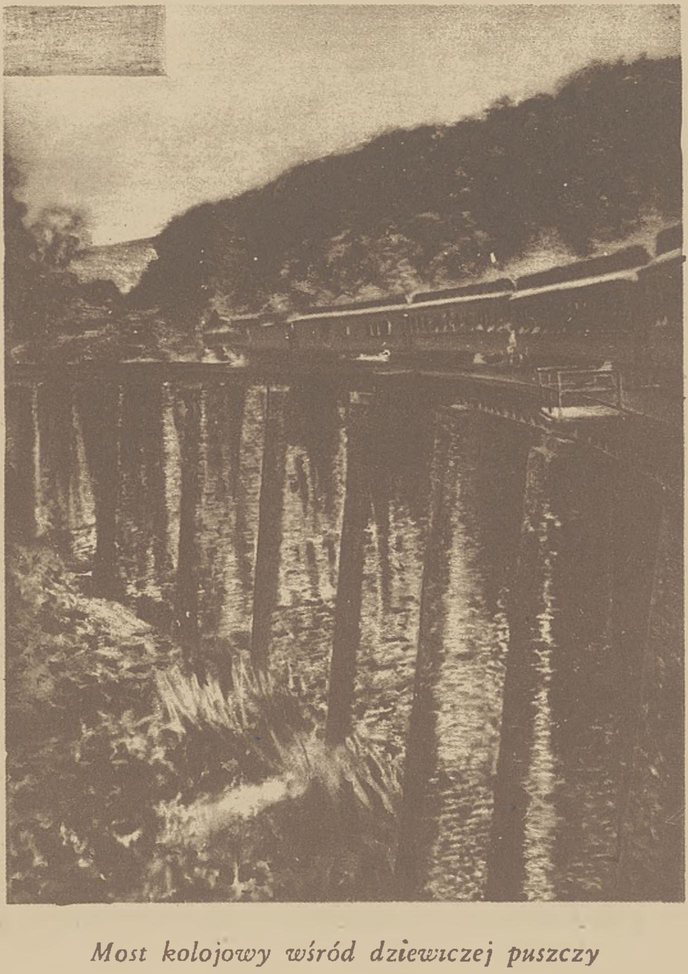
Porfio Diaz i jego metody

30 lat, 3 miesiące i 18 dni był dyktatorem Meksyku Porfio Diaz. W ciągu tych lat dyktatury Meksyk zrobił nadzwyczajne postępy pod każdym względem i zajął duże stanowisko w świecie. Z kraju nieuprawnego, z kraju rozbójników stał się krajem, na którego prace i bogactwa zwróciły się oczy całego świata. Zapanowało bezpieczeństwo i porządek. Han-

del i przemysł poczęły kwitnąć, zaczęto budować koleje żelazne i zaczęła się rodzić solidność, jak nigdzie na świecie.

Porfio Diaz miał wypróbowane środki na złodziei i rebeljantów, którzy stworzyli to, że nikt do Meksyku zaufania nie miał. Gdy tylko powstało gdzieś jakieś zamieszanie, dyktator posyłał zaraz swoich ludzi. Wysłannik dyktatora kazał zgromadzić wszystkich ludzi, którzy byli w konflikcie z prawem, na jednem miejscu. Często z 300 przestępców kazał wybrać co czwartego, postawić pod mur i rozstrzelać. Do pozostałych zwracał się temi słowy: *„Dziś tych spotkała zasłużona kara, a jutro was! Strzeżcie się!* Te środki okazały się skutecznemi Mówiono, że można na ulicy pozostawić wór złota i nikt go nie ruszy.

20-go maja 1922 roku zmarł Porfio Diaz na wygnaniu i od tego czasu niepokoje w Meksyku nie ustają. Do rządów doszedł jeszcze jeden wielki człowiek, Franzisco I. Madeiro, ale ten został zastrzelony po roku swoich rządów. Prezydent przychodził po prezydencie. Jedni podzielili losy Madeiry, inni ustępowali tego samego dnia, w którym dochodzili do władzy. Nic dziwnego, że naród nie respektował prawa, jeśli pierwsi jego obywatele nie mieli najmniejszego dla niego szacunku. Rozpoczęły się rozboje, które nie mają końca. Rewolucje przychodziły jedna po drugiej. Nie zawsze były one wywołane niezadowoleniem szerokich mas. Najczęściej ambicje jednostek, które chciały się dorwać do władzy, były tego przyczyną. Kraj ubożał. Wielu pozostawiło majątki i uchodziło zagranicę. Majątki pozostawały w rękach zarządców.



Most kolojowy wśród dziewiczej puszczy



Puszcza kończy się

Gdy się jedzie przez kraj koleją, które budował Porfio Diaz, widzi się wszędy zniszczenie. Jeżeli się zajedzie na jakiś folwark dobrze utrzymany, to zawsze należy on do cudzoziemca. W rękach cudzoziemców znajdują się tu wszystkie majątki ziemskie, wielkie domy towarowe, większość pieniędzy.

Lud jest zobojętniały i ociężały, do czego przyczyniły się ciągłe rewolucje i te ciężkie przeżycia, jakie ma za sobą. Po wsiach większość Indiosów pozostała analfabetami. Oni dowiadują się tylko od agitatorów i mówców, co się w kraju dzieję. Masy Indiosów nie dadzą się nikomu przekonać, bo są uprzedzone do obcych rządów, nakładają na nich nadmierne podatki. Częste rewolucje są tam do przewidzenia. Teraz rewolucji niema, ale prawo pięści jest tam silniejsze niż dawniej. Kto ma lepszy pistolet i lepiej strzela, ten zwycięża. Prawo pięści utrzymuje się ciągle i we wszystkich kołach.

W parlamencie każdy poseł dochodzi do swojej słuszności drogą pięści i nierzadko się zdarza, że przeciwnikowi połamie kości. Napady i rabunki nie należą tam do rzadkości.

Gdy herszt potrzebuje pieniędzy, ze swoją bandą urządza napad na pociąg lub automobile... Są ranni i zabici i powstaje wielkie oburzenie... ale zagranicą. W kraju natomiast przechodzi się nad tem do porządku, trochę się gada o tem, trochę się przeklina rząd,

Dokładny adres Wydawnictwa:

„Polacy w całym świecie„

Telefon nr. 1167 Królewska Huta

P. K. O. nr. 310 202 ul. Hajducka nr. 15

(Polska — Poland)

W każdej parafji polskiej w Ameryce ktoś się znajdzie, co zechce zostać przedstawicielem „Polaków w całym świecie".

ale każdy jest przeświadczony, że gdy przyjdzie następny, lepszy od tamtego nie będzie.

Wspomnę tylko o wielkim napadzie na pociąg pod Guadalajera, który zalicza się do najstraszniejszych, jakie się zdarzyły. Zagranicą zapisały gazety o tych okropnościach całe szpalty, a tu notuje się je w kilku wierszach. Życie ludzkie w Meksyku absolutnie nic nie znaczy. Niema wyjątku między życiem krajowca i cudzoziemca.

„Może zostać w swoim kraju, jeżeli czuje się tu niepewny" — tak mówią Meksykanie i cieszą się, jeżeli zastrzelono jakiegoś cudzoziemca, zwłaszcza Amerykanina.

Poselstwa i cały korpus dyplomatyczny jest tu bezradny. Rząd ich przeprosi, gdy się pogniewają... i wytłumaczy, że to była pomyłka, bo kula była przeznaczona dla kogoś innego. Konflikt został złagodzony, no i dalej sobie wesoło strzelają. Przeciętnie pada pod kulami do 30 cudzoziemców na miesiąc, a między nimi przeważnie Amerykanie. Bez jakiegoś powodu... Tem się tu nikt nie przejmuje, że gdzieś ktoś padł od kuli... Przypuszczam, że nawet ten, którego zastrzelą nie dziwi się temu...

Dobrze byłoby zrobić statystykę napadów i morderstw w Meksyku, żeby świat wiedział, wiele ludzi zostało tu bez powodu pomordowanych i okaleczonych, nie daliby temu wiary, że w XX. wieku w tej części Ameryki coś podobnego dziać się może.

Polacy w Meksyku

Na całej olbrzymiej przestrzeni Meksyku niema kolonji rdzennie-polskiej. Aczkolwiek ilość obywateli polskich w Meksyku sięga przypuszczalnie powyżej 2.000 głów, to jednak obywatele narodowości polskiej nie wynoszą nawet 8 %. Ogółem liczba Polaków w Meksyku nie przekracza 150 osób. Pozostałość stanowią emigranci żydzi, którzy bardzo szybko, po osiedleniu się w Meksyku, zapominają języka polskiego i w bardzo znacznym odsetku nabywają obywatelstwo meksykańskie. Ilość Polaków w stolicy Meksyku nie przekracza 20 osób, komunikujących się ze sobą — ze względu na trudne warunki życia — tylko okolicznościowo. Organizacji polskiej w Meksyku niema. To też tylko zawdzięczając prof. Stankiewiczowi z Paryża, który badał i zwiedzał Meksyk, przebywając tam 2 lata, możemy na łamach „Polaków w całym świecie" zamieszczać opisy Meksyku oraz ciekawe ilustracje.



Poganiacze mułów w drodze na targ w Meksyku.

Szkice z Węgier



Muzyka cygańska rozbrzmiewa prawie z każdej restauracji na Węgrzech. Jej sentymentalne i porywające tony zachwycają każdego cudzoziemca i są odzwierciadleniem życia węgierskiego. Miękkie tony wywodzą skrzypce cygańskie raz sentymentalne, to znów pełne namiętności. Kto nie wie nic o Węgrzech, to jednak musiał słyszeć o tej muzyce cygańskiej. Bo orkiestry cygańskie koncertują po całym świecie. Szczególnie w Rosji nie można sobie było wyobrazić restauracji bez muzyki cygańskiej.

Każdy przyjaciel muzyki napewno zna Liszta, który w swojem piśmie: „*Les bohémiens et leur musique en Hongrie*" przedstawia, że muzyka i narodowe tańce węgierskie pochodzą od cyganów. Muzyka cyganów węgierskich ze swych rozlewnych i melancholijnych tonów podobna jest do płaczu dziecka... Chwilami wpada w szalony rytm pełen namiętności i uciechy życia. Zgórą 500 lat cyganie zamieszkują Węgry, to też dziwić się nie można, że Węgrzy ich muzykę przyjęli za swoją.

Ta muzyka najlepiej odzwierciadla ich charakter, ich uczucia i ich życie. Kto słucha muzyki cygańskiej, temu wydaje się, że widzi przed swemi oczyma galopującego rumaka przez stepy... To znowu jakby go otaczały jakieś opary stepów lub bezkresna samotność pogrążająca go w otchłani smutku...

Węgry i Rosja były jedynymi krajami, które cyganie — ten naród pełen tajemnic i zagadek — obrali sobie za swoje. Marja Teresa i Józef II. starali się zmusić cyganów do jakiejś realnej pracy. Przed wojną większa część cyganów ze wszystkich miast węgierskich odpłynęła do Siedmiogrodu. Dzisiaj kraj ten znalazł się w granicach Rumunji. Jednak część ich pozostała w granicach Węgier. Do języka swego przyjęli dużo słów węgierskich, zawsze jednak rozmawiają językiem cygańskim. Język ich ma brzmienie gardłowe i, jak badania wskazują, jest spokrewniony z narzeczem ludów, zamieszkujących Azję Środkową w okolicach Hindukusz.

Ciągną przez kraj i ofiarowują swoją pracę jako kowale, druciarze, snycerze i t. p. Zajmują się również handlem bydła i koni. Nie można im odmówić, aby nie posiadali pewnej kultury. Najlepiej wskazuje na to ich zamiłowanie do muzyki, do której wnieśli bardzo wiele wartościowych pierwiastków. Znany jest ich mistrz Bihary. Prymas cygański, który — grając na skrzypcach — kieruje kapelą, nierzadko dochodzi do sławy i pewnej towarzyskiej ogłady. Często cyganie koncertują jako soliści.

Muzyki cygańskie przygrywają po miastach węgierskich we wszystkich restauracjach. Rozbrzmiewają tam one już od południa. Przy jej dźwiękach spożywają goście sławny gulasz, przyprawiony silnie papryką, oraz melony, a to wszystko zakrapia się winem węgierskim. Muzyka cygańska rozbrzmiewa do dziś dnia również w kawiarniach wiedeńskich, przypominając Austrjakom te czasy, gdy kraj węgierski był ściśle związany z losami Austrji. Trafiają się muzyki cygańskie nawet po gospodach wiejskich, i gdzie się tylko pokażą ściągają zaraz wielkie zbiegowisko, bo każdy chętnie lubi posłuchać smętnych i zarazem wesołych melodyj cygańskich.

Niezapomnianą jest dla mnie pewna podróż, którą odbywałem po Węgrzech w towarzystwie kilku przyjaciół. Kapela cygańska potrafiła wygrywać każdą melodję bez nut, którą im podały pierwsze skrzypce. Ku naszemu zdziwieniu raptem zagrały skrzypki cygańskie „*Jeszcze Polska nie zginęła*". Grali z największem zacięciem i bez najmniejszej pomyłki... Gdy jeden z nas zagwizdał im z „Halki" piosenkę „*Szumią jodły na gór szczycie*", z początku próbowali ją ująć w tempo walca... Ale po chwili połapali się i zaczęli grać melodję zupełnie poprawnie, choć nigdy przedtem jej nie słyszeli... Musieliśmy podziwiać muzykalność tych napozór prymitywnych ludzi.

Wieczorem przy dźwiękach cygańskich skrzypek i cymbałów tańczono ochoczo czardasza i krakowiaka w świetle sztucznych ogni, które jak świętojańskie robaczki przelatywały nad naszemi głowami. A księżyc rzucał fosforyczne blaski wokoło na pola. Chociaż noc zapadała, ale roztańczona wieś nie myślała wcale o spoczynku, a skrzypki i cymbałki grały i grały bezustanku... Słychać je nawet było na wzgórzach, które wieś otaczały... A one grały i grały, aż zaczęły się ukazywać pierwsze blaski poranku.

Kto tylko zwiedza Węgry, muzyka cygańska utkwi mu na zawsze w pamięci. Chociaż wkradła się dla niej konkurencja jazzbandowa, która swoim rytmem jest podobna do muzyki cygańskiej, jednak muzyka cygańska na wsi pozostała jak dawniej. Może ona przejdzie wnet do historji, może w miastach przycichnie, ale za głęboko tkwi ona w sercach ludu wiejskiego. I dopóki nie znikną wędrowni cyganie, nie zniknie i ona.

Próbowano cyganów osiedlić w wioskach, ale nadaremnie, bo nikt nie chce ich mieć za sąsiadów. Cyganie kradną nietylko konie, ale oni cudzej własności wogóle nie uznawają. Gdzie tylko się pokażą, zaraz swoje ręce wtykają do cudzego. Żebrząc ciągną owsi do wsi, a po ich odejściu, temu zginęły kury, tamtemu barany, innemu świnia z chlewa lub owca z pastwiska... Zbliżają się do zagród i z nieopisaną zręcz-



com. Jak prędko jednak umieją uciekać na widok kelnera, jak szelmowskie jest przytem ich spojrzenie, trzeba to widzieć, aby podziwiać. Chytrość wśród tego uciskanego i bezdomnego narodu rozwija się od dziecka. Znają pewne znaki, któremi się zdaleka między sobą na migi porozumiewają, jak szajki złodziejskie. Już zdaleka można ich poznać po krzyku i hałasie. Odnosi się wrażenie, jakby się słyszało dziką kłótnię... Może dzieci biją się o wyżebrane miedziaki, może starsi o podział łupów? A gdy się ktoś zbliża, całą gromadą lecą dzieci ku niemu. Jak wygłodniałe drapieżne zwierzęta rzucają się na obcego, by wyżebrać miedziaka. Zwierzęca chciwość wygląda z ich oczu, ona ujawnia się w każdym ruchu ich czarnych rąk, które wyciągają się w stronę przechodnia. Gdy się rzuci między nich parę miedziaków, wtedy widzi się masę ciał przewalającą się między sobą. Wśród nieopisanego krzyku grzebią za zdobyczą. Dziecko cygańskie jest drapieżne jak młody lew.

Cała rodzina...

nością wykradają gospodarzowi, co się da, zanim ten się spostrzeże.

Już dzieci żebrzą według wskazówek, jakie otrzymują od matki. Gdy się je przypadkowo spotka pod lasem, wyciągają błagalnie ręce i żebrzą o jałmużnę. W miastach chodzą nietylko po domach, ale i po restauracjach, a szczególnie naprzykrzają się cudzoziem-

Po wsiach przed domami stoją kobiety cygańskie z niemowlętami na rękach... Często są piękne i kształtne. Prędko się starzeją, bo mają wiele dzieci. Jednak nie przybywa ich wiele, bo wskutek złej pielęgnacji, i marnego pożywienia wśród dzieci jest wielka śmiertelność. Odzienie cyganów jest jedną różnorodną zbieraniną. Dzieci najczęściej noszą odzież wyżebraną, która jest na nie za duża i obszarpana.



We wsi cygańskiej

Jak kobiety wiejskie, noszą cyganki głowy obwiązane chustkami, chodzą boso i w krótkich fałdzistych spódniczkach. Domy we wsi cygańskiej są budowane w uliczkach krętych, wyboistych, dachy kryte słomą lub deskami. Ściany są obdrapane, a dachy pełne dziur. To jednak cyganom nie przeszkadza. Do porządku i czystości nie mają zamiłowania.

We wsi cygańskiej spotykamy naczelnika. Jest to jeszcze młody człowiek w czapce sportowej na głowie i w ubraniu z miejska. Matka jego jest wróżką i jednocześnie najbogatszą kobietą we wsi. Zaprosiła mnie do izby, w której znajdowały się łóżka, zaścielone wysoko pierzynami i poduszkami, oraz drewniane meble. Cyganka rozłożyła karty przedemną i poczęła wpatrywać się we mnie mądremi i badawczemi oczyma... Możliwe, że spostrzegła niedowierzanie w mej twarzy...

Przez wróżenie z ręki zarabiają kobiety cygańskie dużo pieniędzy. Młode dziewczynki są tancerkami i ubierają się pstrokato. Na Węgrzech przeważa kolor czerwony. Stroją się w dźwięczące łańcuszki i wszystkie zarobki obracają na stroje. Prędko się rozwijają i młodo wychodzą za mąż. Łamanie wiary małżeńskiej wśród cyganów należy do rzadkości.

Ze zmierzchem odwiedziliśmy drugą wieś cygańską, położoną w pobliżu kąpielowej miejscowości. Z otwartych drzwi płynęły ku nam tony skrzypek i dolatywał śpiew kobiecy. Na środku izby płonęło wesoło ognisko. Drgające błyski z ogniska widoczne były z daleka. Dolatywał nas zapach gotowanych potraw. Przygotowywano wieczerzę z ulubionej wieprzowiny. Gardłowe i krzykliwe głosy dolatywały do nas z za płotów. Mrok wieczorny jeszcze bardziej podkreślał ich wygląd dziki i groźny

Skrzypiący wóz drewniany zbliżał się... Był naładowany skrzyniami i paczkami... To napewno była zdobycz z kradzieży. Wąską drożyną polną wracały w ciemnościach bose postacie do domu... Mężczyzni z ciężkiemi workami, kobiety z niemowlętami na ręku. Wszędzie dzieci wracają z żebraniny. Podejrzliwie i tchórzliwie spoglądano na nas, jakby mieli nieczyste sumienia. Już z przyzwyczajenia kilkoro dzieci wyciągnęło ku nam ręce z głośną prośbą o jałmużnę.

Ogrody wokoło domów stały zaniedbane i opuszczone. Kilka gęsi i kur spało pod dachem. Uprawa roli ludziom tym jest zupełnie obca. Na tem polega tylko ich życie osiadłe, że im wskazano, gdzie mają nocować. Gdy się porówna muzykę cygańską z ich



Dzieci ze wsi cygańskiej

prymitywnością i sposobem życia, nie można wyjść z podziwu, że mogą istnieć tak wielkie kontrasty.

ANDRZEJ GRODZIECKI, BUDAPESZT

Kobieta hinduska w chwili obecnej. .

Wiek XX. przyniósł Indjom wielki prąd ruchu wyzwoleńczego, który ma za zadanie uwolnienie tego tajemniczego kraju z jarzma anglo-europejskiego. W szczególności jednak wiek XX. stał się dla kobiety hinduskiej nawskroś nowym okresem, bowiem do Indji, tego dziwnego kraju przeróżnych ras, języków, poglądów, religji zwyczajów i obyczajów wionął również nowy prąd: prąd wyzwolenia z przestarzałych poglądów i przesądów. Prąd ten budzi świadomość potrzeby uwolnienia się od kastowości, ze strasznych więzów zwyczajów małżeńskich i nieznośnego ucisku socjalnego.

Przedewszystkiem kobieta hinduska widzi w tem swoje wyzwolenie. Małżeństwa dzieci, spalanie wdów na stosie, okropne poniewieranie niezamężnych kobiet — to wszystko powoli ustępuje nowym bardziej ludzkim zwyczajom... Znika życie i gospodarstwo haremowe i zamykanie kobiet w specjalnych domach.. Kobieta hinduska nie widzi już swego okrutnego przeznaczenia w haremie, które odrywało ją od świata i stwarzało z niej istotę, o której się mówiło jak o bajce. Życie obecnie otwiera przed nią swe podwoje, urok jego i do niej uśmiecha się teraz i pieści ją nie jak



Panny Sen, trzy hinduskie piękności

niewolnicę przesądów, ale wolną kobietę... I Indje powoli się zmieniają... Dziś są jeszcze mozajką starych zwyczajów i przesądów i nowych prądów i urządzeń.

Indje są państwem potężnem, składającem się z różnych księstw, ludów i zwyczajów... Wszystko naraz zmienić się tam nie może... Można dziś tam spotkać i auto, i aeroplany i radjo... Jest tam i uniwersytet i nowoczesne życie sportowe, a dalej zachowali się jeszcze ludożercy i takie szczepy, które żyją w stanie „dzikim" i chodzą nago... Liczba „niecywilizowanych" jest jednak tak niewielka, że „kwestja dzikich" szybko tam ulegnie likwidacji. Dziką Hinduskę w tem stuleciu będzie się już oglądało jak unikat, niezwykłą osobliwość... Kobieta hinduska wchodzi w kręgi cywilizacji i nie pozwala się sprzedawać swoim rodzicom nieznanemu mężczyznie, by ją odrywał od świata i zamykał w haremie... Dla tych romantycznych istot zmodernizowane życie przyniosło swobodę, choć w tempie powolnem... Przyczyniły się do tego przedewszystkiem stosunki gospodarcze.

Także w Indjach stosunki gospodarcze, jak zresztą wszędzie, zmuszają kobietę do szukania zajęcia w różnych środowiskach To też kobieta hinduska znalazła się w fabrykach, biurach, domach towarowych, a również garnie się do wiedzy, do polityki i do sztuki. Zrozumiała nareszcie kobieta hinduska, że — by coś dla siebie zdobyć — musi to sobie wywalczyć.

Rozpoczęło się to tak, jak wszędzie... Bohaterki i pionierki tego wyzwolenia padały na polu walki i im, ich cierpieniom i wytrwaniu, mogą dzisiejsze córy Indji zawdzięczać swoją pozycję społeczną i zdobyte prawa. Prawa te oczywiście coraz więcej ulepszają się za pośrednictwem wykształcenia i nauki, do której kobieta hinduska ma obecnie pełny dostęp. Tym sposobem coraz więcej budzi się kobieta hinduska, rozszerza się dla niej dostęp do życia, rodzi się nowy typ nowoczesnej Hinduski, wyzwalającej się z jarzma przestarzałych przesądów, odrzuca nałożone na nią chomonta okrutnych zwyczajów i kroczy naprzód z zapałem.

Przytem i to jest bardzo charakterystyczne, że wyemancypowane Hinduski nie wszystkie stare zwyczaje odrzucają — odrzucają tylko ich okrucieństwo. Kobieta hinduska, choć tak nowocześnie myśli, potrafi nosić stare stroje i je zachować. Na naszym obrazku widzimy trzy siostry panny Sen, córki doradcy hinduskich studentów w Anglji. Matka ich była wdową po radży Paikapary, która była pierwszą hinduską lotniczką.

Panny Sen studjują na uniwersytecie w Anglji. Uważane są w Indjach za wybitne piękności, o czem zresztą nikogo przekonywać nie potrzeba... Gdyby przyjechały do Warszawy, zwłaszcza ta w środku, uznanoby je za upostaciowanie prawdziwej kobiecości. Swego czasu te trzy panny Sen były przedstawione królowej angielskiej, co uważa się w Anglji za oszałamiający zaszczyt, który bardzo rzadko przypada w udziale nawet największym damom w Anglji. Panny Sen zachowują dawny strój hinduski, ale ich rodaczki zastępują go strojem europejskim, jedwabnemi pończochami, modnemi fryzurami, nowoczesnem obuwiem itd. Ta moda wkracza przedewszystkiem do wielkich miast indyjskich... Taki niekrępujący strój, jaki zachowały panny Sen, ich rodaczki z wielkich miast noszą tylko w zaciszu domowem, wśród najbliższych. Dawniej oczy całego zachodu europejskiego pełne zachwytu i oczekiwania były zwrócone na ten kraj cudów, za jaki Indje uchodziły. I dziś krajem cudów Indje pozostały..., choć cuda te stają się dostępniejsze dla oka i ulegają poznaniu. Mimo powłoki kultury anglo-europejskiej, kraj ten zachowuje tysiące osobliwości. Również kobieta hinduska.

Dr. Antoni Lipowski — Londyn.

Tam, gdzie kawa dojrzewa



Z Rio de Janeiro

Brazylja! Kraj przyszłości! Kraj kawy, herwy, kauczuku, kabokli i t. d. i t d. Egzaltowany młodzieniec po przeczytaniu wspaniale napisanego „*Kobuza*" Ostrowskiego, lub „*Pionierów*" Pawłowicza doda: Wielkie ronda kapeluszy, trzy pistolety gotowe do strzału za pasem, na każdym zakręcie czyha krwawy Fabricio, a żmije tańczą foxtrota na śpiącym obok ogniska poszukiwaczu przygód...

Przedewszystkiem małe sprostowanie: wystarczy jeden dobry pistolet, brazylijskie drogi nie mają na zawołanie licznych zakrętów, a „krwawy Fabricio" jeżeli jeszcze żyje, to jest obecnie bardzo, bardzo stary i zamiast brazylijskiej wódki — kaszaszu, popija odpowiednik starokrajskiego rumianku.

Polacy w Paranie! Jak różnie o nich piszą!

Tchnąca tragedją epopea chłopska Konopnickiej p. t. „Pan Balcer w Brazylji", feljetony przygodnych obieżyświatów i beletrystyczne powieści pełne literackiej fantazji.

Jeżeli kto chce z książek poznać Brazylję, a zwłaszcza Paranę — niech przestudjuje monografję p. t. „*Brazylja*" Franciszka Łypa i książkę b. konsula w Kurytybie Kazimierza Głuchowskiego p. t. „*Wśród Pionierów Polskich na Antypodach.*"

Żądni zaś intryg, krwi i miłości, niech czemprędzej zabiorą się do czytania książek wymienionych na wstępie.

Jak żyje się polskim kolonistom? Co robią i jak sobie radzą?

Ogólnoświatowy kryzys dotknął i Brazylję. Czyta się często w gazetach o tysiącach worków kawy spalonej w celu opróżnienia przeładowanych magazynów.

Bawełnę taniej produkują Stany Zjednoczone, oraz coraz więcej jej jest na rynku z azjatyckich plantacyj.

O tytoniu brazylijskim już dawno zapomniano w Europie, paląc wonne papierosy z tureckich i bałkańskich tytoni. Gdzieindziej wyrabiany kauczuk jest niestety lepszy, a więc i bardziej poszukiwany.

Pozostaje jedynie herva — to brazylijskie złoto!

I tu klęska! Dawniej najwięcej konsumowała herwy Argentyna, która obecnie zupełnie zamknęła swoje granice przed importem brazylijskiej herwy.

W Brazylji jednak trudno zasiedziałemu koloniście z głodu umrzeć. Niema się gotówki, trudniej o nowe ubranie, ale jedzenia jest wbród. Czego nie sprzedadzą — to zjedzą.

A jedzą tu dużo i tłusto. Dużo mięsa a mało jarzyn i tym się pewno tłumaczy stosunkowo wielka ilość chorych na artretyzm.

Herva, jak się ją pije? A jak zaparza? Jakie są stosunki w Paranie? Czy są szkoły i kto w nich uczy? Jak się tam poluje?

Czy to prawda, że za zabicie czworonoga więcej się odpowiada niż za zgładzenie człowieka?

Na te i na inne pytania odpowiemy w następnych zeszytach. *Wacław Parańczyk — Płock.*

KRONIKA

Zjazd, jakiego jeszcze nie było!

W 1934, a więc już w przyszłym roku, odbędzie się w Polsce pierwszy w jej dziejach Światowy Zjazd Polaków.

Zjadą się do Warszawy Polacy z najdalszych zakątków świata. Tematem obrad będzie stworzenie Światowego Związku Polaków.

Zjazd przygotowuje Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy, na czele której stoi jako przewodniczący p. Marszałek Senatu Władysław Raczkiewicz.

Prezes Rady niedawno wrócił z Ameryki Południowej, gdzie dokonał wizytacji zamieszkałych tam Polaków.

Marszałek Raczkiewicz był z entuzjazmem wszędzie witany przez Polaków, a z czcią i poważaniem przez obcych.

W obliczu zbliżającego się Zjazdu bledną różnicę w zapatrywaniach poszczególnych grup i organizacyj. Wszyscy stają na jednej platformie, której na imię „Ojczyzna".

Jak jest celową i pożyteczną dla Polski praca Rady Organizacyjnej, dowodzi fakt, że jeden z najpoczytniejszych dzienników niemieckich nazwał ją „polskim dynamitem".

Zjazd zaś będzie jedynym w swoim rodzaju, gdyż takiego nie udało się zorganizować najstarszym narodom kolonjalnym.

Ba, Polacy gdy trzeba mogą zdobyć się i na żywiołowy „Cud nad Wisłą" i planowy nad Bałtykiem — Gdynię.

Jest mnogo sił w Narodzie (Wyspiański)! Naród Polski wiele jeszcze cudów dokona! ***Wacław Kulesza — Płock.***

Olimpjada Polaków z Zagranicy!

Razem ze Światowym Zjazdem Polaków odbędzie się w Warszawie w przyszłym roku Olimpjada Sportowa Polaków z Zagranicy.

Zarówno we Francji, jak w Czechosłowacji, Niemczech czy Ameryce wre praca przygotowawcza.

Największe szanse w zwycięstwie w grach sportowych i lekkiej atletyce ma, naszem zdaniem „Junak" z Parany, o którym napiszemy w następnych zeszytach naszego pisma.

Rozwój Harcerstwa Zagranicą.

Obok silnego rozrostu Harcerstwa w Polsce, żywiołowo powstają coraz to nowe harcerskie druzyny polskie na obczyźnie.

Największy ilościowo rozwój wykazują Stany Zjednoczone. Za niemi kroczy Francja, Czechosłowacja, Niemcy, Rumunja it.d.

W olbrzymich setki tysięcy liczących skupieniach Polaków w Paranie niema prawie wcale drużyn harcerskich.

Czas jednak zrobi swoje i napewno już w najbliższych zeszytach napiszemy o nowych placówkach harcerskich w Paranie.

Górny Śląsk / Perła w koronie Rzeczypospolitej

II

W zeszycie tym kończymy opis „Z dziejów Śląska", napisany przez redaktora Alojzego Macha z Katowic, a w dalszych omówimy okres plebiscytu i powstań, przechodząc do niemniej ciekawych rozdziałów historji współczesnej Śląska, t. j. do rządów polskich na Śląsku, dorobku tych rządów w budownictwie, postępach myśli polskiej na Śląsku, szkolnictwie i t. p. Oprócz tego w dalszych zeszytach „Polaków w całym świecie" omawiać będziemy śląskie zagadnienia gospodarcze oraz znaczenie Górnego Śląska dla mocarstwowego rozwoju Państwa Polskiego.

*

Z Dziejów Śląska

Rząd pruski nie spieszył się z polepszeniem położenia ludu polskiego na Górnym Śląsku. *Lud górnośląski został pominięty nawet i wtedy, gdy pod naciskiem ogólno-europejskich prądów Prusy w roku 1807 zniewolone zostały do przeprowadzenia reform agrarnych i zniesienia poddaństwa.* Takie upośledzenie dzielnicy górnośląskiej wzburzyło gminy polskie i pobudziło je do zorganizowania oporu przeciwko oddziałom wojska.

Z powodu tych wypadków rząd pruski wydał edykt regulacyjny w roku 1811, mocą którego nadano chłopom obowiązanym do pańszczyzny wolność osobistą i prawo do własności dotychczasowych gruntów. *Tymczasem na skutek zabiegów hr. Henkla von Donnersmarcka, ustępstwa poczynione Górnoślązakom poczęto stopniowo ograniczać. Wtedy to zagrodnicy, tracąc swoje grunta na korzyść dworu wraz z prawem do budulca i pastwisk leśnych, mogli zatrzymać dla siebie zaledwie od 3—4 morgów na własność zupełną, zobowiązując się jednocześnie na każde żądanie do 5-letniej służby we dworze, według norm płatniczych zależnych od miejscowych zwyczajów. Wskutek takich spaczonych reform cały lud polski znalazł się w jeszcze gorszem położeniu ekonomicznem niż dawniej. Ucisk i nędza doprowadzały perjodycznie do strasznych katastrof głodowych.*

Wynikiem tej pracy germanizacyjnej było doszczętne zniemczenie połowy Śląska. To też w ciągu XIX wieku zaczyna się ustalać nowa granica etnograficzna polska. Z całego obszaru Śląska jako prowincji odcina się obszar rejencyjny opolski, t.j. Górny Śląsk, na którym żywioł polski pomimo wielowiekowej rozłąki z Polską i pomimy tysiącznych prześladowań i udręczeń utrzymał swą narodowość i ani języka, ani wiary swych ojców nie zatracił.

Wiek XIX. na Górnym Śląsku przynosi świadectwo tej wielkiej prawdzie, że narodowość nie ginie i zawsze przebudzi się tam, gdzie lud prosty pozostał wierny swemu pochodzeniu, choćby i inne warstwy uległy wynarodowieniu.

Lud zatracił wprawdzie odwieczne tradycje politycznej jedności z narodem polskim, zapomniał o piastowskich czasach, ale do czytania polskiego garnie się ochoczo, bo przyrodzona jego siła ciążenia zwraca się w kierunku polskim. Między niemiecką lub zniemczoną szlachtą a ludem polskim niema duchowego związku. Jego przewodnikami są księża i nauczyciele, którzy wychodzą ze sfer ludowych. *Czytelnictwo rozwija się wyłącznie na tle religijnem.* Książki modlitewne, pieśni pobożne, powieści moralno-religijne lub treść swoją czerpiące w świecie bajek ludowych, stają się jedynym duchowym pokarmem ludu śląskiego. *Należy podkreślić, że na Śląsku lud zaczynał czytać już wtedy, gdy w reszcie Polski sztuka czytania była obcą ludowi wiejskiemu. Pod tym względem Śląsk wyprzedził inne ziemie polskie.*

Śląsk kolebką ludowego dziennikarstwa polskiego...

W roku 1804 Belitz w Opolu założył drukarnię polską. Proboszcz Gałeczka w Oleśnie miał własne czcionki i małą prasę drukarską. Ułożywszy pieśń „*Przed Tobą upadamy*", sam ją wydrukował i zadarmo między parafjan rozdawał. W tem samem mieście Józef Lompa, później nauczyciel w Lubszy w powiecie lublinieckim, pierwszy piśmiennictwo wprowadził poza granice wyłącznie treści religijnej. W roku 1821 wydał historję Śląska dla szkół elementarnych, później „*Pielgrzyma z Lubopolu*", krótką opowieść historji śląskiej. Ogłosił także krótki rys geografji Śląska, wydawał poezje i powieści. *Ubogi nauczyciel wiejski przez długie lata jednoczył w swojej osobie ruch piśmienniczy polskiego Śląska.*

Przykład Lompy podziałał na innych. Górnośląscy księża *Pohl, Stabik, Ficek i Szafranek* piszą i drukują książki polskie na tle religijnem. Im bliżej roku 1848, owej prawdziwej wiosny budzących się do życia ludów, tem więcej ukazuje się książek. Równocześnie powstają pisma i gazety polskie. W Piekarach ukazuje się „*Tygodnik Marjański*", w Bytomiu „*Dziennik Górnośląski*", w Oleśnie „*Telegraf*", w Opolu „*Gazeta Wiejska*", w Pszczynie „*Przyjaciel Ludu*". W Pszczynie już w roku 1842 wychodził „*Tygodnik Polski*", poświęcony włościanom. *I znów należy podkreślić, że Śląsk wyprzedził inne dzielnice Polski, stając się kolebką ludowego dziennikarstwa polskiego.*

Pierwsi posłowie polscy ze Śląska...

W roku 1848 do parlamentu niemieckiego wybrani zostali *ks. Szafranek* i rolnik *Gorzałka.* Obaj oni, uważając się za przedstawicieli ludu polskiego, *bez wahania zajęli miejsca wśród ówczesnych posłów z zaboru pruskiego.* Ks. Szafranek jako poseł śląski i członek Koła Polskiego wystąpił na posiedzeniu niemieckiego zgromadzenia narodowego z petycją polskich Górnoślązaków i uzyskał zgodę rządu pruskiego, który pod parciem ogólnego zapału wolności musiał wysłać do Opola radcę szkolnego *Bogedaina* w celu odbudowy i reformy polskiego szkolnictwa ludowego. *Bogedain działał jako prawdziwy pedagog i bronił na Śląsku praw językowych ludu polskiego.* Nie trwało to jednak długo. Już w roku 1863 zaczęto znowu usuwać ze szkół język polski, ograniczając go narazie do nauki pacierza i pieśni religijnych. Szkoły ludowe stawały

się stopniowo niemieckiemi, aż wreszcie zgermanizowano je zupełnie.

Po roku 1848 upadły pozakładane gazety polskie na Śląsku i ruch piśmienniczy ogranicza się, jak przedtem, do niezbędnych książek religijnych. *Lud górnośląski w zagrodzie swej i rodzinie pozostaje ciągle polskim, ale poczucia wspólności z całym krajem polskim jeszcze w tym okresie nie odczuwa. Ślązacy są ciągle jakby gałęzią od pnia macierzystego odciętą, żyjącą własnem odrębnem życiem, bez żadnego związku duchowego z całością. Z Wielkopolską nie było żadnych poważniejszych stosunków.*

Krótko przed wojną francusko-niemiecką budzi się żywszy ruch na Śląsku. Przedewszystkiem dojrzewają dwaj poeci, *ks. Boncek Norbert i ks. Czesław Lubiński, który występuje pod przybranem nazwiskiem Damrotha.* W Piekarach zaś pod redakcją ks. Purkapa, a nakładem i drukiem Heneczka, w roku 1867 poczyna wychodzić raz w tygodniu *„Zwiastun Górnośląski"*, w którego niepozornej szacie mieści się sporo treści. Jest w nim nieco polityki ze świata, rozmowy o sprawach bieżących, wreszcie wiadomości historyczne, *a w nich często wspomnienia o pniu ojczystym, na którym niegdyś śląska gałąź wyrosła.* Przygodnie pisali tu wszysey, nieliczni zresztą Ślązacy, którym drogą była oświata ojczysta. Pisał więc kowal Ligoń i nauczyciel Karol Miarka, którego powieść *„Szwedzi w Lędzinach"* wyszła w tym samym roku 1868 z drukarni *„Zwiastuna"*. Również ks. biskup Adrjan Włodarski, sufragan wrocławski, znalazł się w rzędzie współpracowników. W roku 1869 Karol Miarka zakupuje w Chełmnie, wydawanego przez J. Chociszewskiego *„Katolika"*, i przenosi go najprzód do Królewskiej Huty, a potem do Mikołowa. Miarka w piśmie tem *stanął śmiało jako rzecznik interesów ludu górnośląskiego.* W opozycji do rządu stojący księża gorąco popierali usiłowania Miarki, *nawołującego do poszanowania języka ojczystego. Lud, niezadowolony z ograniczeń w dziedzinie szkolnej i kościelnej, garnął się do czytania opozycyjnego organu i chętny posłuch dawał głosowi Miarki, który wyrasta na przewodnika swego ludu.*

»Kulturkampf« i polityczne odrodzenie Górnego Śląska...

Germanizacyjne dążności Prus ujawniły się ponownie z całą brutalnością po wojnie w roku 1871. *Wszystkich Górnoślązaków, uważających się za Polaków, usunięto z urzędów choćby najmniej wpływowych. Każdy objaw odrębnej myśli w prasie prześladowano. Niemieckie duchowieństwo całą siłą pomagało w zwalczaniu polskości Górnego Śląska. Zbyt daleko jednak już posunęła się samowiedza ludu, aby miała zagasnąć pod prześladowaniem. „Kulturkampf" i obrona przed nim, kierowana na Górnym Śląsku przez Miarkę, po aresztowaniu zaś jego, przez ks. Radziejewskiego, wydała błogosławione owoce. Potrzeba czytelnictwa polskiego zakorzeniła się głęboko. Brak polskiej nauki w szkole zastępowały matki w domu.*

Pod wpływem Bismarcka i jego *„Kulturkampfu"* w roku 1886 przenosi się na Śląsk Katolicka Partja Centrowa, *kierowana przez kler niemiecki. Księża niemieccy, korzystając z religijności ludu śląskiego i jego przywiązania do wiary, narzucają się mu na kierowników politycznych. Katolik, katolickość, katolicki i t. p.* mają odtąd górować, *a Polak, polskość, polski i t. d.* mają zniknąć, aby odrodzenie narodowe ludu polskiego na Górnym Śląsku powstrzymać, zahamować. Odrodzenie narodowe Śląska nie ma się skrystalizować w pewną formę polityczną, ale dzięki wyrafinowanej i podstępnej robocie centrowców ma się cofać. Miarka zmarł, ks. Radziejewski został skazany na przymusowy wyjazd ze Śląska, więc na pewne powodzenie liczyć można. Co więcej, wydawnictwo „Katolika" dostaje się w ręce ugodowca Adama Napieralskiego, który oddaje się na usługi centrowców, składając deklarację lojalności wobec gnębiciela pruskiego.

Polityczne odrodzenie Górnego Śląska, które ma ujawnić się w wyborach do parlamentu niemieckiego i w wyborze Korfantego w roku 1903, już się nie da zahamować. W roku 1889 dr. Józef Rostek w Raciborzu przygotowuje polityczne odrodzenie ludu polskiego na Górnym Śląsku za pośrednictwem „Nowin Raciborskich". Z żywiołowym rozmachem organizacyjnym podkłada się miny śmiercionośne pod centrum. W Katowicach pod redakcją Korfantego powstaje *„Górnoślązak"* i *„Polak"*. I te pisma wychodzą pod hasłem „Precz z centrum!"

W roku 1903 wyrazem odrodzenia politycznego Górnego Śląska jest wybór Korfantego do parlamentu niemieckiego jako posła polskiego. Jest to data historyczna w dziejach politycznego odrodzenia Górnego Śląska. Korfanty zebrał plony swej pracy, a przedewszystkiem swoich poprzedników: ks. Radziejewskiego, Miarki, Bącka, Damrotha, Szafranka, Pohla, Stabika, Ficka, Lompy, Lisa i tych wszystkich bezimiennych bohaterów, którzy fali germanizacyjnej tak skutecznie się przeciwstawiali. Gdy Niemcy przy pomocy miljonowych subwencyj w pośpiechu poczynają wykończać budowę wspaniałego klasztoru w Panewniku pod Katowicami, zbliżają się wybory do Reichstagu w roku 1907 i poraz pierwszy w dziejach dzielnicy pruskiej zostaje powołany Polski Centralny Komitet Wyborczy, obejmujący Wielkopolskę, Pomorze, Warmję, Mazury, wychodźtwo i Górny Śląsk. *Lud polski na Górnym Śląsku zrywa ostatecznie z niemiecko-katolicką partją centrową, idzie do wyborów samodzielnie i zdobywa 5 mandatów. Następuje pełne odrodzenie polityczno-narodowe na Górnym Śląsku.* Równocześnie z pracą polityczną lud polski na Górnym Śląsku osiąga piękne wyniki na polu zrzeszeń zawodowych, gospodarczych i oświatowych.

W roku 1903, wybierając tylko jednego posła polskiego, Górny Śląsk oświadczył przed całym światem, *że czuje się częścią Polski! To wszystko, co było przedtem, było nienaturalne i nienormalne! Skoro urzędowe źródła niemieckie wykazywały w poszczególnych powiatach większość polską, to gdy te polskie większości wysyłały do Berlina posłów niemieckich, był to stan nienormalny i nienaturalny!*

Kardynał Kopp...

Obok niemiecko-katolickiego centrum, największym wówczas szkodnikiem i wrogiem ludu polskiego na Górnym Śląsku okazał się biskup wrocławski, ks. kardynał Jerzy Kopp, który rządził diecezją wrocławską od roku 1887—1914. On to:

1. W seminarjum duchownem we Wrocławiu zniósł regularną naukę języka polskiego,



W III powstaniu górnośląskiem, które wybuchło w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku, zginęło 6 kadetów lwowskich. Oto pomnik poległych na dziedzińcu Korpusu Kadetów we Lwowie. Nazwiska: Karol Chodkiewicz, Zygmunt Zakrzewski, Zygmunt Toczyłowski, Henryk Czekaliński, Zbigniew Zaszczyński i Zbigniew Pszczółkowski. Pierwsi trzej walczyli w Grupie „Wschód“ pod dowództwem Karola Grzesika (Hauke), obecnego burmistrza Wielkich Hajduk i posła na Sejm Rzplitej. III powstanie zadecydowało o przyłączeniu Górnego Śląska do Polski. Wartość jego przygotowań najlepiej określił ówczesny kanclerz niemiecki w zdaniu: „Der Aufstandsplan wurde mit einer verbrecherischen Genialität angelegt“ — Plan powstania ułożony był ze zbrodniczą genjalnością.

2. 6 sierpnia 1890 roku wydał poufny okólnik do duchowieństwa, w którym w sprawie nauki przygotowawczej dzieci do spowiedzi i komunji św. rozporządził: a) w każdej parafji należy utworzyć 2 oddziały, jeden niemiecki, drugi polski, b) te dzieci, które zdaniem proboszcza z pożytkiem mogą brać udział w nauce niemieckiej, razem z dziećmi rodziców niemieckich uczyć należy w oddziałach niemieckich, c) takie dzieci, które ani po polsku, ani po niemiecku dobrze nie rozumieją, przyłączyć lepiej do oddziału niemieckiego, który im szkolną naukę przypomina. Następstwa tego okólnika były straszne dla ludu polskiego.

3. W okólniku z 6 sierpnia 1890 roku ks. biskup Kopp zakazał używania polskiego katechizmu Deharbe'a, ponieważ ks. Boncyk, po przetłumaczeniu katechizmu ks. Deharbe'a na język polski, polecił matkom oraz księżom polskim, by ucząc z niego religji, równocześnie uczyli i czytania polskiego.

4. W latach 1913 i 1914 dwaj księża górnośląscy poczęli wydawać pisemko dla kongregacyj marjańskich „Pod chorągwią Matki Boskiej“. Kardynał stanowczo odmówił swego zezwolenia.

5. W roku 1897 kazał ks. biskup Kopp rozwiązać wszystkie związki alojzjańskie młodzieży polskiej na Górnym Śląsku. Pierwsze towarzystwo tego związku powstało przy kościele N. P. Marji w Bytomiu dnia 25. marca 1871 roku z inicjatywy ks. Norberta Bącka, ojca towarzystw polskich na Górnym Śląsku. Towarzystwo to wypisało na swym sztandarze słowa księdza Bącka: „Ty młodzieży, wznoś sztandary, broń języka, broń twej wiary!“ Ks. kardynał Kopp, w tych niewinnych towarzystwach upatrując agitację polską, rozkazał księżom rozwiązać towarzystwa lub zmienić na bractwa kościelne i towarzystwa niemieckie. Lecz przez szereg lat taki był duch polski w towarzystwach, iż tylko kilka poszło za germanizatorskim rozkazem, większość zaś zmieniła statuty i nazwy towarzystwa na związki katolickich mężów i młodzieńców.

6. W roku 1903 ks. biskup Kopp rozpoczął walkę z polityczną prasą Górnego Śląska.

7. By zamknąć drogę Górnoślązakom do stosunków z rodakami, postanowił ks. biskup Kopp powstrzymać pielgrzymki i wycieczki religijne do Krakowa, Kalwarji, Częstochowy i t. d. Nieprawnie zakazał surowo przesyłania wszelkich ofiar na Msze św. i jałmużny do innych dzielnic Polski, zwłaszcza Krakowa i Częstochowy. Księżom przejezdnym z Galicji i Królestwa zabronił odprawiania Mszy św. lub dłuższego pobytu w diecezji, choćby i ze Śląska pochodzili.

8. W roku 1906 na rozkaz ks. biskupa Koppa rozwiązano w konwikcie wrocławskim kółko polskich kleryków.

9. Biskup Kopp polecił, aby w każdym kościele na Górnym Śląsku zaprowadzone były nabożeństwa niemieckie z kazaniem.

10. Ks. biskup Kopp utrudniał posłowanie polskim księżom lub wyrażał życzenie, by przestali być posłami ludu polskiego w Berlinie.

Oto dziesięcioro krzywd ks. kardynała Koppa wobec ludu polskiego na Górnym Śląsku.

*

Przewidziany i na Górnym Śląsku gorąco powitany pogrom Niemców w wojnie światowej wywołał nowe nadzieje. Klęska Niemców i 13 punkt programu Wilsona dodają otuchy i zapowiadają lepszą przyszłość narodom uciemiężonym. Rewolucja niemiecka z dnia 9 listopada 1918 roku pozwala ludności polskiej występować otwarcie z żądaniem przyłączenia Górnego Śląska do Polski. Łączność tej dzielnicy z resztą ziem polskich ujawniła się w tych przełomowych chwilach wyraźnie, gdyż w celu solidarnej obrony praw narodowych w granicach państwa pruskiego Górnoślązacy przez swoich delegatów biorą udział w sejmie dzielnicowym w Poznaniu, tworząc Naczelną Radę Ludową.

Wobec tak niekorzystnych dla siebie widoków rozstrzygnięcia sprawy górnośląskiej, rząd pruski pod pozorem ochrony produkcji węglowej wysyła na teren Śląska t. zw. „*Heimatschutz*" a oprócz tego „*Grenzschutz*", który miał rzekomo bronić granicy wschodniej Rzeszy przed „*polskiemi bandami*". W rzeczywistości sprowadzono te siły celem wywarcia presji na Polaków. Wszelkie usiłowania, zmierzające do odłączenia Górnego Śląska od Rzeszy Niemieckiej i ewentualny udział w wyborach do sejmu polskiego, ogłoszono za zdradę stanu. Gdy zbliżyły się wybory do konstytuanty, Polacy postanowili nie brać udziału w tych wyborach, aby faktem tym zadokumentować, *że nie chcą nadal pozostawać pod jarzmem pruskiem.*

Gnębienie polskości powierzono z Berlina nowomianowanemu komisarzowi socjaldemokracie *Hörsingowi*, który rozciągnął stan oblężenia na wszystkie powiaty polskie na Śląsku i wprowadził prawa wyjątkowe. Rozporządzając wojskiem i policją, *Hörsing zapełnił wszystkie więzienia przywódcami ruchu polskiego i sporządzić kazał listy proskrypcyjne osób, które należało zgładzić.* Tymczasem, korzystając z okazji zniesienia stanu oblężenia, w dniu 1 maja 1919 roku lud polski na Górnym Śląsku urządził imponujące pochody narodowe w Katowicach, Bytomiu, Zabrzu, Rybniku i Raciborzu. Wtedy zapomocą prowokacji postanowili Niemcy doprowadzić polski lud na Śląsku do zbrojnego wystąpienia. Plan powiódł się. 16 sierpnia 1919 roku wybucha na Górnym Śląsku pierwsze powstanie, które objęło powiaty: *pszczyński, rybnicki, katowicki, bytomski i tarnogórski.* Powstanie zostało zgniecione przy pomocy przeważającej ilości sił zbrojnych, przygotowanych w tym celu już przed wybuchem. Licznych powstańców, a z pośród nich wielu rannych pozbawiono życia. Zamordowano licznych niezamieszanych nawet do powstania osób, *jak np. nauczyciela Janasa*, który legł pod uderzeniami, powtarzając, *że Polsce pozostaje wierny aż do śmierci* — będzie niezatartem świadectwem popełnionych zbrodni. *Kowala Jana Kołodzieja*, ojca dziesięciorga dzieci, rozstrzelano w lesie pod Murckami za to jedynie, że ośmielił się oświadczyć żołnierzom Reichswehry, iż aresztują osoby niewinne. Choć pod obuchem brutalnej przemocy pierwsze powstanie zostało zlikwidowane, sprawa Górnego Śląska pozostała otwartą, nie upadła. Traktat wersalski zapewnił ludowi górnośląskiemu prawo opowiedzenia się w drodze plebiscytu, czy zgodzi się na przyłączenie do Niemiec, *czy też pragnie połączenia z Polską.* W lutym 1920 roku wojska sprzymierzone, składające się z pułków francuskich, angielskich i włoskich, wkroczyły na teren plebiscytowy.



Millenium" — Pomnik, który powstał z okazji tysiąclecia państwa węgierskiego w Budapeszcie.


WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE
MIASTO WOJ.
MIASTA POWIATOWE
INNE MIASTA
MIASTECZKA
Wsi
ponad 100 000 mieszkańców
25 000 – 100.000
10.000 – 25.000
5.000 – 10.000
2.100 – 5.000
1.000 – 2.000
poniżej 1.000
Granice:
Koleje:
Drogi:
Szosy główne
KATOWICE
BYTOM
GLIWICE
ZABRZE
CIESZYN
BIELSKO
BIAŁA
RYBNIK
PSZCZYNA
LUBLINIEC
TARN. GÓRY
ŚWIĘTOCHŁOWICE
WODZISŁAW
ŻYWIEC
KR. HUTA
MYSŁOWICE
BĘDZIN
SOSNOWIEC
STRZELCE
TOSZEK
RACIBÓRZ
HULCZYN
BOGUMIN
FRYSZTAT
SKOCZÓW
USTROŃ
JABŁONKÓW
CZ. CIESZYN
OSTRAWA
MOR.
ORŁOWA
KARWINA
OŚWIĘCIM
KĘTY
WILAMOWICE
BIERUŃ-ST.
MIKOŁÓW
ŻORY
WOŹNIKI
KOZIEGŁOWY
DOBRODZIEŃ
UJAZD
LEŚNICA
PYSKOWICE
SOŚNICOWICE
MIASTECZKO ŚL.
MILÓWKA
STRUMIEŃ
CZECHOWICE
GRODZIEC
SIEWIERZ
CZEL.
DABR. G.
OLSZTYN

25

Niedola polskiej ludności robotniczej na Morawach

Zagłębie Węglowe Ostrawskie, gdzie — dopiero od kilkudziesięciu laty — prowadzi się eksploatację węgla na większą skalę, potrzebowało aż do roku 1920 coraz to większą ilość rąk do ciężkiej pracy w kopalniach, gdyż z roku na rok rozwijał się przemysł miejscowy, mnożyły się fabryki lub rozszerzały zakres swej produkcji, bo postęp pod tym względem szedł iście amerykańskiem tempem. Zapotrzebowanie węgla wzrastało z roku na rok tak, że było potrzeba coraz to więcej robotników do ciężkiej pracy w kopalniach, oraz do najcięższej pracy w fabrykach.

Rąk, chętnych do pracy lekkiej a dobrze płatnej, było dość na miejscu, lecz do pracy cięższej a gorzej wynagradzanej nie było wcale nawet w dalszej okolicy. Znaleziono jednak sposób na to, zwróciwszy się po kontyngent robotniczy do wiosek w zachodniej Małopolsce, skąd przez lat kilkadziesiąt, bo prawie aż do r. 1920 szły tłumnie rzesze robotnicze na teren Ostrawy, by tu w kopalniach węgla ciężko pracować na chleb, w trudzie i znoju zdobywać grosz, o który ciężko było w małopolskiej wiosce. Robotnik polski szedł chętnie, ażeby nieco grosza uciułać i na stare lata kupić sobie chałupę i kawał gruntu w rodzinnej wiosce, gdzie wobec licznej rodziny nie mógł liczyć na to, że kiedyś coś mieć będzie, że czegoś się dorobi.

Robotnik polski okazał się doskonałym materjałem na tutejszym terenie, to też ściągano go tyle, ile tylko było trzeba — inni przychodzili tutaj, ściągnięci przez krewnych i znajomych, dawniej tu pracujących. I tak było przez długi czas przed wojną światową, a nawet podczas wojny światowej, aż do przewrotu.

Z chwilą przeprowadzenia granicy, skończyła się emigracja z Małopolski. Ale wówczas jeszcze fabryki tutejsze pracowały całą parą, ledwie mogąc nadążyć licznym zamówieniom, więc i zapotrzebowanie na węgiel było bardzo wielkie, wobec czego polski robotnik był tu jeszcze koniecznym, bo siły tutejsze nie wystarczały. I trwało to jeszcze czas jakiś, lecz powoli coś psuć się zaczęło, bo zamówienia dla fabryk zmiejszały się i spadała konsumcja węgla. Robotnicy tutejsi, którzy dawniej nawet po 8 zmian na tydzień pracowali, zaczęli pracować tylko na 6 zmian, a potem już tylko na 5. Zmniejszyło się zapotrzebowanie węgla tutejszego wobec ograniczonej pracy w fabrykach, wobec dowozu pewnego kontyngentu węgla z zagranicy. Kopalnie, które jeszcze ciągle z pełnym popędem pracowały, musiały wydobyty węgiel składać na hałdach na zapas, to też zapełniły się hałdy a odbiorców nietylko nie przybywało, ale zaczęło wprost katastrofalnie ubywać. Kopalnie stanęły wobec faktu, że tyle węgla wydobywać nie trzeba, bo niema kto kupować go i zaczęto ograniczać ilość zmian coraz bardziej, na 4, 3, 2 tygodniowo, a gdy i to nie pomogło, zaczęto dawać robotnikom przymusowe bezpłatne urlopy. Gdy i to było za mało, a na węgiel ciągle zapotrzebowania nie było, zaczęto redukować robotników.

Chude lata...

Zaczęły się czasy podobne do 7 chudych lat biblijnych, kryzys gospodarczy objął całe tutejsze przemysłowe zagłębie, obejmując szponami nietylko przemysł węglowy, ale żelazny, przetwórczy, wogóle wszystkie dawniej produktywne przedsiębiorstwa. Nie jest moim celem podawać powody kryzysu, który zresztą obejmuje obecnie cały świat i najwięksi ekonomiści nie mogą sobie z nim dać rady. *Mogę tylko stwierdzić, że tutaj na Morawach kryzys dotknął przedewszystkiem polskiego robotnika, górnika, hutnika, rzemieślnika czy zarobnika, bo gdy nastały czasy braku pracy, już i praca w kopalni jest czemś, o co się walczy bez pardonu.*

Na pierwszy ogień przy redukcjach poszli polscy obywatele i to przedewszystkiem ci, którzy, spełniając swój obowiązek narodowy, posyłali swe dzieci do polskich prywatnych szkół. Potem poszli inni polscy obywatele. Dziś już polskich robotników, którzy jeszcze pracują, na palcach policzyć można, gdy jeszcze przed kilku laty na tysiące ich liczyliśmy.

Setki rodzin opuściły Morawy, wracając do Polski, gdy widziały, że raz utraconej pracy już więcej nie odzyskają — setki rodzin polskich, a tysiące osób, żyje w nędzy, bo pomoc polskich miejscowych towarzystw jest kroplą w morzu tej nędzy. Kryzys dał się we znaki tutejszej ludności polskiej, *której do ostatnich czasów ciągle odmawia się przyznawania obywatelstwa czechosłowackiego na podstawie starej ustawy z roku 1867 mimo, że mieszkali tutaj po 40 lat nawet i starali się niejednokrotnie o nadanie im tutejszego obywatelstwa.*

W czasie krytycznym odczuwają polscy robotnicy, *że traktuje się ich jak obcokrajowców, gorzej jak robotników innych narodowości*, np. przy przyznawaniu zasiłków według systemu gandawskiego, *choć według umowy czesko-polskiej powinniby mieć te tame prawa do zasiłków, co robotnicy czescy.* Robotnicy polscy, którzy pracują tu przez długie lata i płacą wkładki do ubezpieczenia społecznego na starość *narówni z robotnikami czeskimi*, doznają krzywdy przy wymiarze renty ubezpieczeniowej na starość, *gdyż pozbawia się ich dodatku państwowego do tej renty.*

W czasie panującego bezrobocia, robotników polskich, którzy tu pracowali od dziesiątek lat, uważa się ciągle za obcokrajowców i na mocy rozporządzenia Ministerstwa Robót Publicznych *zakazuje się przyjmować ich do pracy jako obcokrajowców.* Na mocy ustawy o ochronie rynku pracy, tych robotników, którzy nawet niedobrowolnie przerwali pobyt w Czechosłowacji, choćby tylko na trzy tygodnie, *pozbawia się prawa do uzyskania pracy.* Od robotników polskich żąda się opłat za pobyt i opłaty te często się podwyższa. Robotników polskich pozbawia się mieszkań szybowych z chwilą, gdy stracą pracę na szybie.

W ten sposób odczuwa obecnie polski robotnik na Morawach kryzys gospodarczy, *którego cały ciężar włożono na jego barki — ten robotnik, który swą krwawą pracą, swym trudem i znojem przeważnie przyczynił się do rozkwitu przemysłu w Zagłębiu Ostrawskiem — dziś niema tu dla niego chleba, niema pracy, niema mieszkania, niema praw — dziś jest „cizincem", uciążliwym obcokrajowcem!?!*

Czy doprawdy ma tu zmarnieć?

Czyżby w wielkiej Polsce nie znalazło się dla niego miejsce? W tej Polsce, gdzie tylu obcokrajowców pracuje obecnie? Tylu obcych nam mową i duchem?

Marjan Pawełek

Prezes Związku Polaków na Morawach.

Zaginiona

Opowieść na tle przeżyć dr. Antoniego Lipowskiego w Anglji

II.

Streszczenie poprzedniego odcinka. Dr. Anthony Lipowski, zajmujący wysokie stanowisko w angielskim świecie naukowym, wraca do domu. W blaskach latarni zauważył postać kobiecą, która szukała zgubionej chusteczki. Chusteczkę znalazł dr. Lipowski i wręczył ją nieznajomej. Ta potem zniknęła. Gdy dr. Lipowski wrócił do domu, dowiedział się z gazety, że artysta malarz Robert Coleridge poszukuje swej narzeczonej Isabel Taylor, która w tajemniczy sposób zaginęła. Dr. Lipowski dochodzi do przekonania, że nieznajoma, którą przed chwilą spotkał, to jest Isabel Taylor, zaginiona. Postanowił o tem zawiadomić zrozpaczonego Coleridge'a, jej narzeczonego. Coleridge mieszka u państwa Raven. Tam się udaje dr. Lipowski, ale malarza w domu nie zastaje. Dowiaduje się, że ten zapewne przebywa u państwa Forth, u których Isabel mieszkała. Dr. Lipowski udaje się do Forthów. Tam, wśród płaczu całej rodziny, ogląda mieszkanie zaginionej, przegląda jej korespondencję, w nadziei, że natrafi na jakieś ślady, po których dojdzie do rozwiązania tajemniczego zaginięcia Isabel Taylor. Przyzwyczajony do rozwiązywania skomplikowanych zagadnień naukowych i do badania, mózg dr. Lipowskiego jest teraz zaabsorbowany zaginięciem Isabel Taylor. Lipowski postanawia rozwiązać skomplikowaną zagadkę.

*

Czy wie pani, gdzie się jej kasetka do listów znajduje? — zapytał dr. Lipowski panią Forth.

Pani Forth wskazała na biurko.

— Przypuszczam, że w tej szufladzie... Nawet otwarta, bo jest w niej kluczyk... Niech pan przeszuka... Może będzie miał pan szczęście.

Lipowski wyciągnął szufladkę. Szufladka była zapełniona listami prywatnemi i handlowemi. Między nimi leżała jedna paczka związana niebieską wstążką. Ta szczególnie zainteresowała doktora. Rozwiązał paczkę i począł szukać listu z najwcześniejszą datą. Wszystkie koperty miały jeden charakter pisma bardzo ozdobny. Wszystkie listy były od Coleridge'a, typowo miłosne. Ani jeden nie wskazywał, aby między narzeczonymi było kiedykolwiek jakieś nieporozumienie. We wszystkich opowiadał o swej pracy, o każdym wykończonym obrazie, który może go uczynić znanym portrecistą i o planach ich przyszłego wspólnego życia. Oprócz tego były daty podawania sobie wspólnych spotkań, ustalenie godzin pozowania, narzekania na oddalenie, jakie ich rozdziela, i niemożność znalezienia mieszkania bliżej.

Z korespondencji niczego nie można było się dowiedzieć. Zresztą były listy handlowe, fotografje panny Taylor, jej narzeczonego, pani Forth i inne. W jednym futerale znalazł doktor książkę, a na niej wypisane: *Mój pamiętnik*. Lipowski miał już nadzieję, że to da mu jakieś wyjaśnienie, tymczasem to był zbiór różnych oderwanych myśli, spostrzeżeń, uwag, a wszystko ujęte w formę poetycką. Wszystkie te szkice były nacechowane wielką tęsknotą za nieznanem.

To tylko dało doktorowi zupełny obraz charakteru młodej dziewczyny. Ale po za tem tyle teraz wiedział, co i przedtem. Poprosił panią Forth, aby mu oświetliła ponownie sypialnię.

— Może tam jeszcze coś znajdę?

Pokój był w takim stanie, jak go Isabel opuściła. Doktor Lipowski obejrzał najprzód umywalnię, a potem nocną szafkę. Tu znalazł książki, które swoją treścią mogły źle wpływać na wrażliwe usposobienie panny Taylor.

Wtem zobaczył list zaadresowany do Isabel ręką Colerigde'a.

Pani Forth objęła głowę rękoma.

— Zgadza się — wyrzekła — To jest list, który przyszedł w dniu jej zniknięcia. Ale on jest bez znaczenia, ponieważ w międzyczasie był pan Bob i widział ten list — mówiąc to, pani Forth cicho popłakiwała.

Lipowski przedarł kopertę i przebiegł pismo oczyma. Coleridge pisał:

„Najdroższa! Jestem całkiem oszołomiony tem, coś mi powiedziała. Co się z Tobą stało? Dlaczego mamy się rozejść? Co ja ci uczyniłem? Zdaje mi się, że to był zły sen. Przyjdę jutro i musisz mi to osobiście powiedzieć, bo uważam to tylko za próbę mojej miłości. Jakto? My duchowo ze sobą nie harmonizujemy... O! Ty mały głuptasku... Co za śmieszne myśli przyszły Ci do głowy? Wyśpij się Moja Najdroższa, niech sen słodki rozpędzi złe myśli, a gdy się zbudzisz z jasnem słońcem, już nie będziesz o tem pamiętać.

Twój do śmierci oddany Robert".

Dr. Lipowski zciągniętą miną podał list do przeczytania pani Forth, która czytając mówiła w zamyśleniu: „O tem pan Bob zupełnie nie wspomniał. Widać nie brał tego na serjo. Uważał, że to są takie drobnostki między młodymi ludźmi."

— Ja także nie przypuszczam, — zrobił uwagę doktor — aby jakieś nieporozumienie miało być tego powodem.

— Ja już tego zupełnie nie rozumiem — odrzekła pani Forth.

Na wszelki wypadek zatrzymam ten list — oświadczył dr. Lipowski — Jutro wyszukam Coleridge'a i z nim pomówię. Teraz zadzwonię na wszystkie posterunki policyjne, czy gdzieś na jej ślad nie natrafiono.

Dr. Lipowski pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł. Pani Forth prosiła go u wyjścia, by im doniósł, gdyby coś wiedział.

Mój mąż oddałby wszystkie swoje oszczędności żebyśmy tylko mogli ją mieć z powrotem w naszym — wyrzekła pani Forth.

Dr. Lipowski, przyrzekając, że doniesie im — opuścił dom państwa Forth. Wsiadając do dorożki, polecił zawieźć się na najbliższy posterunek policyjny. Tam się dowiedział od urzędników pozostających na służbie, że usiłowania ze strony policji są wielkie, ale narazie bezskuteczne.

— Młode dziewczęta giną w Londynie codziennie — zrobił uwagę urzędnik — Jedne uciekają z kochankiem, drugie padają ofiarą handlarzy żywym towarem i są wywożone do Belgji lub Południowej Ameryki, inne pociągnięte swoim temperamentem idą za jego głosem, a potem wskakują do Tamizy lub pierwszego lepszego kanału. Przed paru miesiącami zaginęły w ten sam sposób dwie piękne młode dziewczyny w Finsbury. One szły tą samą drogą, co ta... Ta właśnie.

— Isabel Taylor? — zapytał doktor.

— Gdy otrzymamy wiadomość z głównej komendy policji, damy natychmiast znać pani Forth — zapewniał urzędnik policyjny.

Lipowski starał się otrząsnąć z przykrego przygnębienia, opuścił posterunek, wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć na St. James Street do wspaniałego budynku klubu nauki.

Wkrótce dorożka zatrzymała się przed tym gmachem między Piccadilly i Pall Mall. Masa pojazdów stała przed gmachem. Lipowski polecił dorożkarzowi, by zaczekał na niego, a sam zaczął wstępować na schody, prowadzące do klubu. Po chwili służący w bogatej liberji pośpieszył odebrać od niego palto, kapelusz i laskę. Drugi lokaj z głębokim ukłonem otworzył mu drzwi do salonów, gdzie członkowie ze sobą odbywali konferencje.

Elastycznym krokiem dr. Lipowski wszedł do salonu. Zebrane i zaabsorbowane rozmową towarzystwo, składające się z wybitnych ludzi nauki, ucichło chwilowo, gdy dr. Lipowski ukazał się. Nazwisko dr. Lipowskiego było szeroko znane i cenione w tych kołach. Po kilku godzinach, spędzonych wśród tego dostojnego towarzystwa, dr. Lipowski pojechał do domu i pełen zmęczenia zasnął.

Następnego dnia począł przeglądać dzienniki, spodziewając się, że dowie się z nich o losach zaginionej. Ale nic nie znalazł. Udał się jak zwykle, do zakładu św. Jerzego na wykłady, ale myśli dziś nie mógł skupić. Ciągle miał w głowie tajemniczą zagadkę zaginionej.

Kiedy około 6-tej wrócił do domu, miss Saunders oświadczyła mu, że nieznany jej pan Coleridge czeka na niego. Szybko zebrał się, by udać się do salonu, który sąsiadował z jego pokojem.

Gdy wszedł dr. Lipowski, na jego widok wysmukły mężczyzna średniego wzrostu zerwał się z fotelu i szybko zbliżył się ku niemu. Prawie kobiecym melodyjnym głosem przedstawił się Lipowskiemu i zaraz rozpoczął: „Czy mam przyjemność z panem dr. Lipowskim? Dziękuję panu serdecznie za wczorajszą wizytę. Gdy się o niej dzisiaj dowiedziałem, napełniła mnie nowa otucha. Niechaj mi pan opowie o tem spotkaniu... Jakto było?... Jakto było?... Że pan?...

Dr. Lipowski poprosił młodego i miłego blondyna, by usiadł. Wtedy sam usiadł obok niego i zaczął mu opowiadać o swojem spotkaniu ze wszystkimi szczegółami.

Kiedy dr. Lipowski skończył opowiadać, malarz zagłębił twarz w dłoniach. Ten niemy ból wzruszył dr. Lipowskiego i miał dla niego pełne współczucie. Gdy Coleridge opanował się, począł opowiadać doktorowi o swoich uczuciach dla panny Taylor, o swojej beztroskiej młodości, o swej sztuce. Dr. Lipowski, który znał się na ludziach, poznał w malarzu jednostkę wartościową, którego nazwisko może daleko wybiec poza dotychczasowe kręgi. Isabel Taylor była słońcem w jego życiu, które dawało mu natchnienie i zapał. Oboje pełni zapału szli naprzeciw życia. Nagle wszystko obróciło się w jedną nierozwiązaną zagadkę. W ostatni czwartek o niezwykłej godzinie przyszła do niego narzeczona wystraszona, blada i rozgorączkowana. Oświadczyła przerażonemu narzeczonemu, że musi się z nim rozstać. Na jego pytania dawała wymijające odpowiedzi, prędko i to skończyła, a przy odejściu oświadczyła, że jeszcze przyjdzie do niego z całą pewnością po radę.

Młody człowiek przygnieciony smutkiem napisał do niej list i na jej życzenie pojutrze pojechał na Pentonville Road. Tam się dowiedział, że wcale nie wróciła. Od tego czasu ślad po niej zaginął.

Obaj mężczyźni stali przed niewyjaśnioną zagadką. Doszli do przekonania, że — chcąc ją rozwiązać — nietylko trzeba pomocy detektywów, ale samym trzeba wystąpić w ich roli.

Ponieważ Coleridge nie umiał wyjaśnić powodów jej oddalenia się, a jej krewni nic nie wiedzieli, dr. Lipowski przyszedł do przekonania, że jedynym śladem, który istnieje, jest ponury dom, przed którym Isabel spotkał. Zaproszenie doktora, by z nim zasiadł do stołu, Coleridge przyjął bez ociągania się.

O ile miss Saunders wobec gości była zawsze chłodną, o tyle dzisiaj wobec malarza była uprzejma i brała żywy udział w rozmowie.

Po obiedzie pożegnali miss Saunders i udali się na Pont Street.

Przybywszy na miejsce, dr. Lipowski pokazał malarzowi to miejsce, na którem spotkał wczoraj nieszczęśliwą. Coleridge słuchał go w milczeniu. Potem prosił doktora, by się udał do jego atelier, bo mu chce pokazać jej portret, a to go przekona, czy to była ta sama. Doktor chętnie na to się zgodził.

Atelier znajdowało się o piętro wyżej niż mieszkanie państwa Raven. Malarz część dachu dał zerwać, aby miał dość światła. Udało mu się to w zupełności, albowiem przez szyby w dachu światło strumieniami zalewało atelier. Urządzenie atelier w świetle palącej się świecy w mosiężnym lichtarzu nie okazało się luksusowem, ale zato ujawniło pracowitość Coleridge'a. Niektóre antyczne bronzy o rzadkiej piękności wskazywały na smak gospodarza. Znajdowały się tam kopje dostarczonych portretów, pełno porozrzucanych szkiców, wiele rozpoczętych lub skończonych studjum, z których większość miała podobieństwo do zaginionej. W atelier jednak rzucał się w oczy przedewszystkiem olbrzymi portret naturalnej wielkości Isabel Taylor, który aż nadto dobrze przekonał doktora, że ta, którą wczoraj spotkał, była ona, a nie inna.

Piękna młoda dziewczyna patrzyła na niego z portretu temi samemi ciemnemi oczyma, jak wtedy,

gdy ją spotkał. Piękne linje smukłego ciała, które było okryte w ciemną suknię, ginęły w ciemnem tle kolorytu obrazu. Był to naprawdę obraz pełen wartości. W niekłamanym zachwycie dr. Lipowski ściskał dłoń malarzowi.

— Tym obrazem zdobędzie pan sobie miejsce wśród wybitnych malarzy — odezwał się doktor — Niech pan nadziei nie traci. Niemożliwem jest, aby ta piękność miała zaginąć. Przez sztukę ma zapewnione długie życie. Miejmy nadzieję, że ona jeszcze swoją ziemską istotą stworzy panu raj na ziemi.

Robert Coleridge westchnął głęboko.

— Dziękuję panu, panie doktorze, za jego serdeczne słowa — wyrzekł — O ile się nie sprawdzi, co pan mówi, zrezygnuję ze sławy, bo obrazu nie wystawię, nie mogąc po nim już nic więcej tworzyć. Co jabym obok niego miał postawić?

Jeszcze raz z gorącem przejęciem uścisnął doktor dłoń malarza.

— Tak!... Szkoda więc czasu, bo trzeba działać i to szybko — oświadczył Lipowski

— Tak! Tak! Ale od czego rozpocząć? Początek zrobiony, więc trzeba iść po nim. Ale gdzie się zaczyna, a gdzie się kończy? — odpowiedział malarz.

Lipowski zaśmiał się.

— O! Wy malarze nie znający życia. Gdzie? Od pańskiego mieszkania! Więc chodźmy!

Coleridge zarzucił pluszową zasłonę na portret narzeczonej i otworzył drzwi doktorowi. Zgasił światło i zamknął atelier. Gdy znaleźli się o piętro niżej, malarz przeprosił doktora i zadzwonił do państwa Raven, u których mieszkał.

Pani Raven otworzyła drzwi. Poznała doktora i powitała go z uszanowaniem. Pierwsze jej pytanie było o Isabel Taylor. Malarz z rezygnacją potrząsał głową, a głos jej drżał ze wzruszenia, gdy doktor zagadnął w sprawie jego listów. Pani Raven przyniosła mu kilka listów, które on z gorączkowym pośpiechem zaczął przerzucać. Zrezygnowanym gestem zwrócił się malarz do doktora.

— Niema nic — wyszeptnął ściśniętym głosem — Chodźmy więc.

Obaj mężczyzni pożegnawszy panią Raven, w grobowem milczeniu zaczęli schodzić na dół.

Przed bramą domu dr. Lipowski zatrzymał się, rozglądając się badawczo wokoło.

— Ach! Zapomniałem — nagle wykrzyknął — pana prosić o jej fotografję. Może nam dużo pomóc w naszych poczynaniach.

— Oto tu mam jej ostatnie zdjęcie — wyrzekł Coleridge, wyciągając ją z portfelu.

Lipowski począł się w nią wpatrywać i przekonał się, że jest w tym samym kostjumie, w którym ją spotkał owego pamiętnego wieczoru. Skinął głową z zadowolenia i znowu obejrzał się wokoło. Wzrok jego zatrzymał się na ponuro wyglądających budynkach, które stały obok siebie. Po tej samej stronie, gdzie mieszkał malarz, w czwartym domu znajdował się w piwnicy wyszynk, przeznaczony dla mętów ulicznych i dorożkarzy. Dr. Lipowski wraz z malarzem zatrzymał się przed szynkiem. Wydeptane kamienne schody prowadziły wgłąb niskiego lokalu. Zwieszająca się naftowa lampa wypełniała mglistem światłem brudną norę, w której poza ladą szynkową, szafką na wódki i połamanemi koszykowemi meblami nic więcej nie było. Za stołem siedział szynkarz w brudnym odzieniu i czytał. Przy bufecie stał dorożkarz, który popijał z wielkiej szklanicy gin.

Zaraz zorjentował się doktor Lipowski, że na tej ulicy niema więcej szynków. Doktor szepnął do Coleridge'a, że tak długo się tu zatrzymają, dopóki dorożkarz nie wypróżni swej szklanicy i nie odejdzie od lokalu. W tym momencie zobaczył dorożkarz, że z jednego domu wyszedł jego gość, więc rzucił należność szynkarzowi, wyszedł na ulicę i z wielką niecierpliwością począł się gramolić na swoje siedzenie.

Dr. Lipowski upominał malarza, żeby cierpliwie czekał i nie denerwował się, gdyż on chce najpierw wejść do szynku. Na skinienie Lipowskiego usunął się Coleridge w cień, aby światło padające na ulicę z szynku nie zdradzało jego obecności.

Dr. Lipowski owinął się szczelnie płaszczem, podniósł kołnierz wysoko i, naciągnąwszy głęboko kapelusz na oczy, zaczął wstępować po schodach na dół.

Gospodarz obojętnie spojrzał na wchodzącego Lipowskiego. Nie odpowiadając na rzucone mu „dobry wieczór", podniósł się jednak i przyłożył do czoła rękę po wojskowemu.

— Ale chłodny wieczór? — mruczał doktor pod nosem, otrząsając się. Podnosząc ramiona do góry, usiadł na stołku przed ladą.

— Tak! Trochę za prędko przyszło zimno w tym roku — zauważył szynkarz — Czem mam panu służyć?

— Jedną whisky proszę, ale lepszą.

— Bardzo chętnie, panie! — odpowiedział szynkarz, nalewając z różnych flaszek najtańsze gatunki whisky — Na zdrowie, mój panie!

— Dziękuję panu! Pan pewnie był żołnierzem!?!

— Tak, panie! Nawet 12 lat wojowałem.

— Brawo, brawo! Niech się więc pan napije ze mną whisky.

— Bardzo chętnie. Stary żołnierz przed niczem nigdy się nie cofa — wyrzekł, napełniając swoją szklankę.

— Na zdrowie wojaków — wykrzyknął dr. Lipowski, podnosząc swoją szklankę do góry.

— Dziękuję! Jest dobrze pić za zdrowie odważnych — wyrzekł szynkarz i zawartość szklanki zniknęła w jego niezgłębionej czeluści.

Lipowski odrazu poznał oszustwo i śmiał się z tej mieszaniny.

— Niech pan jeszcze raz dokaże tej samej sztuki i napełni kolejkę.

Stary żołnierz zaczął sobie wycierać usta brudną kościstą łapą i śmiał się i kaszlał.

Gdy szynkarz napełniał szklanki, Lipowski niby to od niechcenia zagadnął: „Pan ma tu bardzo dobry punkt obserwacyjny. Pan może każdego, który tędy przechodzi, obserwować!

— Ja nikogo nie obserwuję. Mnie zewnętrzny świat mało obchodzi — odpowiedział szynkarz.

— Jak długo pan już tu prowadzi swój szynk?

— Tutaj od trzech lat.

— To pan swoich sąsiadów zapewne zna doskonale? — zapytał doktor?

Stary szynkarz uśmiechnął się z przekąsem.

— Co mnie tam obchodzą sąsiedzi? Tu mieszkają tacy, którzy zadzierają nosy... Gdyby wszyscy tacy byli, jak pan!?! Takich tu niema.

Na ten komplement Lipowski skłonił się.

— O! Dziękuję, dziękuję, ale niech mi pan nie pochlebia — i kiedy popijał ze swej szklanki, rozmyślał.

Kiedy trzecią szklankę napełniał mu gospodarz, zagadnął doktor szynkarza, aby wybadać, jak w tej ulicy wygląda życie i moralność tych ludzi. On niedawno sprowadził się na tę ulicę i będzie się w tych sprawach orjentował.

Stary pijak począł mrugać powiekami, z pod których rzucał błyszczące spojrzenia.

— O! Ciekawa okolica!?! Nie dla młodych tu zabawa... Mnie się wydaje, że i starzy grzesznicy mogliby się tu doskonale zabawić...

— Szkoda!?! Szkoda!?! — począł żartować doktor — Ale mnie się zdaje, że się pan mylisz... Pan wszak nic nie widzisz poza swoją budą... Skądby pan mógł wiedzieć o pięknych dziewczynkach?

Stary potarł szczecinowate wąsy.

— O! Mój panie! My ciągle jesteśmy młodymi łobuzami,... jeżeli „o to“ chodzi.

Doktor przysunął się bliżej i poklepał go po ramionach.

— Wiesz, mój stary, ja tu na tej ulicy spotkałem parę razy dziewczynkę... Pierwsza klasa... Ona musi mieszkać tu, bo ją kilka razy widziałem wychodzącą z pod numeru 11-go. Pewnie tę damę będzie pan dobrze znał?...

Stary żachnął się i szorstko odpowiedział: „Już panu raz powiedziałem, że nikogo nie znam... Niech sobie pan szuka swoją pannę, ale bezemnie.“

Doktor postanowił nie ustępować.

— Tylko spokojnie, mój stary. Ja tylko zrobiłem żart... Otóż ta sprawa jest taka: U jednego fotografa zobaczyłem piękną fotografję kobiecą i kupiłem ją sobie. Ponieważ przypadkowo, przechodząc tą ulicą, spotkałem ją, chciałbym się o niej coś dowiedzieć. Ja myślę, że pan jako sąsiad, mógłbyś coś wiedzieć... No, ale nie siedźmy tak na sucho... Daj pan jeszcze whisky.

Szynkarz napełnił znów szklanki. Zamówienie nastroiło go znowu pokojowo. Po głębszem zastanowieniu wyrzekł: „Zapewniam pana, że nie znam ani jednej duszy, oprócz moich gości. Ale ci tu nie mieszkają... Z tak dostojnego towarzystwa, jak jest pan, do mnie nikt nie przychodzi. Niedawno był tu jakiś pan, który chciał się potajemnie upić,... ale przedmiotu pańskiej namiętności nie znam wcale.“

Osowiały powstał doktor. Na jakiś skutek nie liczył już więcej. Wyciągnął fotografję, którą dostał od Coleridge'a, i pokazał ją szynkarzowi.

— O tą chodzi, ale pan jej nie znasz!?!

Stary wyga pochylił się nad fotografją i ciekawie zaczął się jej przyglądać. Nagle wyprostował się i wyrzekł: „Tę to ja widziałem przed paru dniami, ale nie wiem co ona za jedna.“

Doktor uczuł szum w głowie. Pierwszy krok, aby wpaść na trop zaginionej, był zrobiony. A teraz naprzód! Ukrywając radość, prędko zapytał? „Czy naprawdę pan ją widział? Proszę mi odpowiedzieć?

Stary usiadł na krzesełku i począł głaskać swoją kolczastą brodę.

— To było tu, przed tym placem — wyrzekł — Tak! Tu czekał na nią jegomość, o którym coś opowiem.

— Co za jegomość? — wyszeptał Lipowski.

— No, on wypił tu trzy szklanki mocnego ginu... Ja to panu już mówiłem...

— Tak! Ja o tem zapomniałem... Ale jak to było?

— No, to było przed paru dniami...

— Czy to nie było w ostatni czwartek? — skonsternowany pytał doktor?

— A co to pana może obchodzić? Słuchajno pan... Czy pan jest może z tajnej policji? Mnie to się zaraz tak zdawało.

Doktor począł wybuchać śmiechem.

— O! Tommy Atkins, — ciągnął szynkarz, zwracając się do doktora, jak do żołnierza — pan chciałby ze mnie zrobić szpicla? Ja już jednemu zbyt ciekawemu dwa żebra wyłamałem,... choć za to sześć tygodni sobie posiedziałem. No, mój mały, nie bądź taki bezczelny!

Ten ton łobuzerski, jakim teraz przemawiał szynkarz, najbardziej mu był do twarzy. To też ciągnął tym samym tonem.

— Było to przed paru dniami... Mógł być czwartek... Wieczorem... Mogła być 9-ta... Przyszedł tu pewien mężczyzna w raglanie i kazał sobie podać szklankę ginu. Ponieważ w lokalu było więcej osób, postawił sobie swoją szklankę na krzesełku, odwracając się do wszystkich plecami. Ciągle spoglądał na ulicę, a przytem wypił trzy szklanki ginu. Może po kwadransie ukazała się czarno ubrana dama na schodkach. To ta, którą ma pan na fotografji. On podskoczył i znalazł się przy niej. No i parka zniknęła. To wszystko, co wiem. Ale on się wtedy upił!?! To na odwagę!?!

— Zniknęli? Dokąd poszli? — zagadnął doktor.

— No, poczekaj pan — ciągnął szynkarz — Tam na Belgrave Square.

— Czy pan wie, jak on wyglądał?

— No, młody nie był...

— Więc to nie był młodzieniec — zauważył doktor.

— Nie wyglądał na to... Wielki barczysty facet... Twarzy jego nie widziałem, bo miał kapelusz o wielkim rondzie, a do tego moje oświetlenie nie jest nadzwyczajne. Ale zaufania swoją osobą nie wzbudzał... Miał dwoje strasznych oczu... On z tą laleczką nie żartował!?! Ale płacił z gestem... A to się kobietom podoba...

Zabolało to doktora, że ten szynkarz w takim tonie mówi o dziewczynie. Więc wstał i wyciągnął portmonetkę.

— Więc to jest wszystko, co pan wie? — zagadnął Lipowski.

Kredą notował szynkarz każdą kolejkę na bufecie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DLA DZIECKA POLSKIEGO — POLSKI OBRAZEK

Rok rocznie setki dzieci polskich w każdej parafji przystępują do Komunji św. Jest w zwyczaju, iż każde dziecko otrzymuje, dla upamiętnienia tego dnia, obrazek ze stosownym napisem od swego księdza proboszcza. I nikt się nad tem nie zastanawiał, ile przy tej okazji rok rocznie dziesiątków tysięcy złotych polskich płynęło do Niemiec, przysparzając pracy i chleba Niemcom. Bo przedsiębiorstwa niemieckie miały dotychczas poprostu monopol na zaopatrywanie całej Polski, każdej parafji, każdego dziecka polskiego w obrazki komunijne i inne. Należy dodać, że obrazki te pod względem artystycznym nigdy na wyżynie nie stały.

Gdy nadszedł kryzys gospodarczy ze swojemi skutkami, t. j. w pierwszym rzędzie bezrobociem, powszechną pauperyzacją, biedą i nędzą, poczęło się mówić głośno, a nawet nawoływać, że — chcąc ratować tysięczne rzesze robotnicze przed brakiem pracy i chleba — należy propagować potrzebę kupowania wyłącznie wyrobów krajowych. Co się produkuje w kraju, nie sprowadzaj z zagranicy! Żądaj towaru krajowego u kupca polskiego!

Z jednej strony księży proboszczów, z drugiej strony rodziców począł razić niemiecki obrazek komunijny i inny... Jakto? W ciągu 15 lat niepodległego bytu rozwinęły się w Polsce różne bardzo skomplikowane gałęzie przemysłu, rozwinął się pięknie np. przemysł chemiczny, a bez obrazka niemieckiego obejść się nie możemy? Czy obrazka w kraju wyprodukować nie umiemy?

Owszem potrafimy, ale społeczeństwo polskie musi pytać się o obrazek polski i go nabywać — musi pamiętać, że, kupując obrazek polski, popiera malarza polskiego, drukarza polskiego i polskie przedsiębiorstwo.

Malarz śląski, prof. Stanisław Ligoń, znany w całej Polsce ze swoich „Berów i Bojek", wygłaszanych w radjo katowickiem, stworzył kilka obrazów komunijnych i zachęcił Zakłady Graficzne Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie do wykonania obrazków komunijnych. Obrazki te ukażą się na rynku polskim po Nowym Roku. Walorami jego są:

1. Zostały wykonane artystycznie przez artystów polskich.

2. Zostały wykonane ładnie — nie gorzej jak niemieckie — w kraju i w zakładach polskich.

3. Są do 50% tańsze niż obrazki niemieckie.

Do Nowego Roku ukażą się 3 serje każda w trzech wielkościach. Reprodukcje pierwszych dwuch serji poniżej podajemy. Obrazki są wykonane w 9 kolorach.

Ceny każdej serji następujące:

Wielkość	38 × 27 cm.	. .	40 gr. sztuka.
„	27 × 19 „	. .	25 „ „
„	19 × 13,5 „	. .	15 „ „

Przy większych ilościach udzielamy dodatkowo stosownego rabatu. Obrazki wysyła się za zaliczeniem pocztowem w terminie oznaczonym przez klienta.

Celem uregulowania nakładów, zamówienia już przyjmujemy.

Zakłady Graficzne Leopold Nowak, Królewska Huta (G. Śląsk)

ulica Hajducka 15. Telefon nr. 1167. Polska — Poland.







Fragment przemysłu górnośląskiego

Huta Królewska — Wylew surówki z wysokiego pieca

Wydawca i Redaktor odpow.: Leopold Nowak w Królewskiej Hucie. — Adres Redakcji i Administracji: Królewska Huta G. Śląsk, ul. Hajducka 15, Tel. 11-67, Konto P. K. O. Nr. 310.202. — Prenumerata „Polaków w całym świecie“ w kraju i zagranicą wynosi kwartalnie: Polska 6 zł., Ameryka 2 dol, Francja 25 fr., Niemcy 4 Rmk., Szwajcarja 4,50 fr. szw., Holandja 2,50 floren., Belgja 6 fr. belg., Włochy 15 lirów, Szwecja-Norwegja 4 kor, Austrja 6,50 szyl, Rumunja 160 lei, Czechosłowacja 24 Kč. Cena pojed. numeru w Polsce 1 zł. Ceny ogłoszeń: za 1 str. 750 zł, 1/2 str. 400 zł., 1/4 str. 200 zł., 1/8 str. 100 zł. Za treść ogłoszeń Redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Naczelny Redaktor przyjmuje codziennie (oprócz soboty i świąt) od godz 11—13. — Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Wykonano w Zakładach Graficznych Leopolda Nowaka w Królewskiej Hucie G. Śląsk, ulica Hajducka 15